



BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CAKOVENSIS

105472

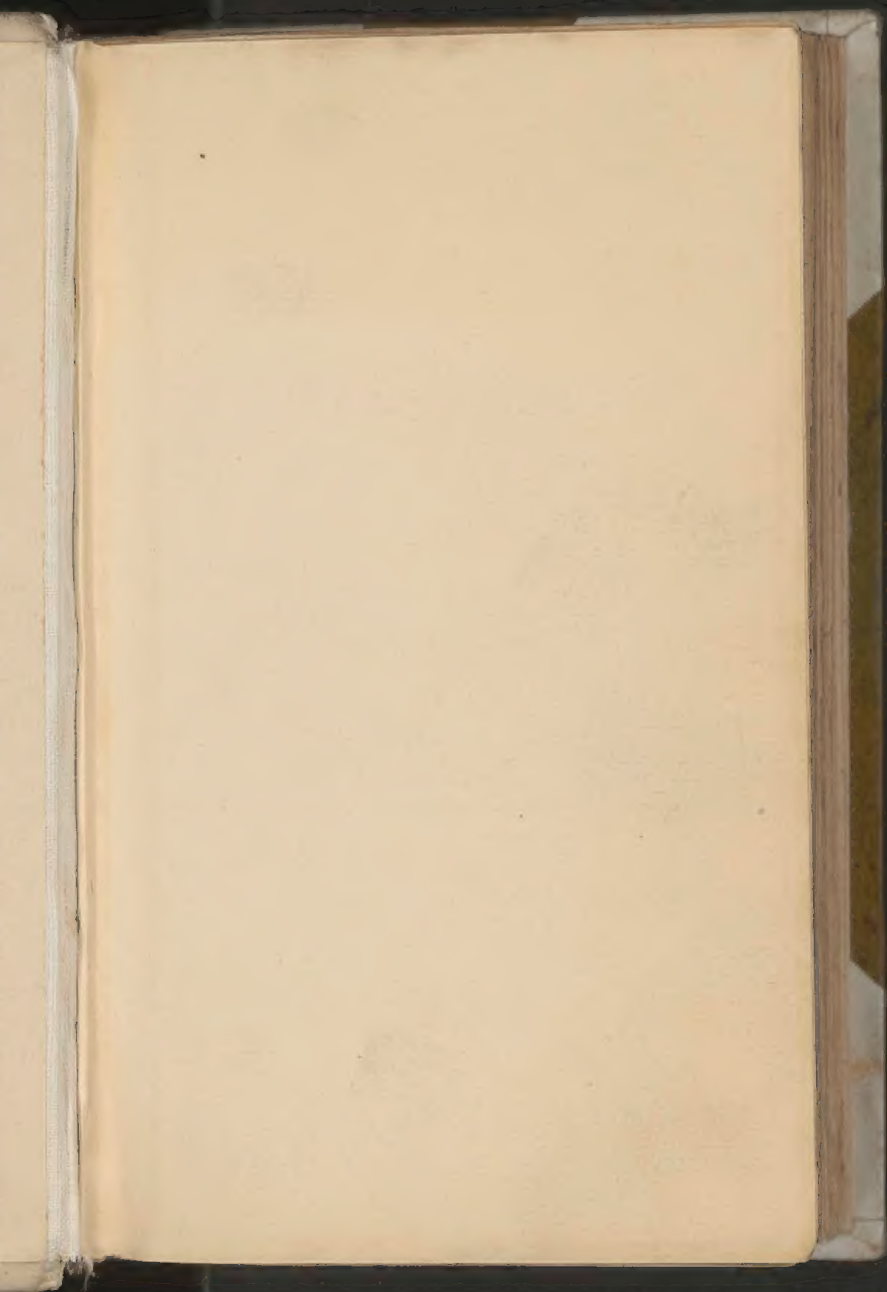
Mag. St. Dr.

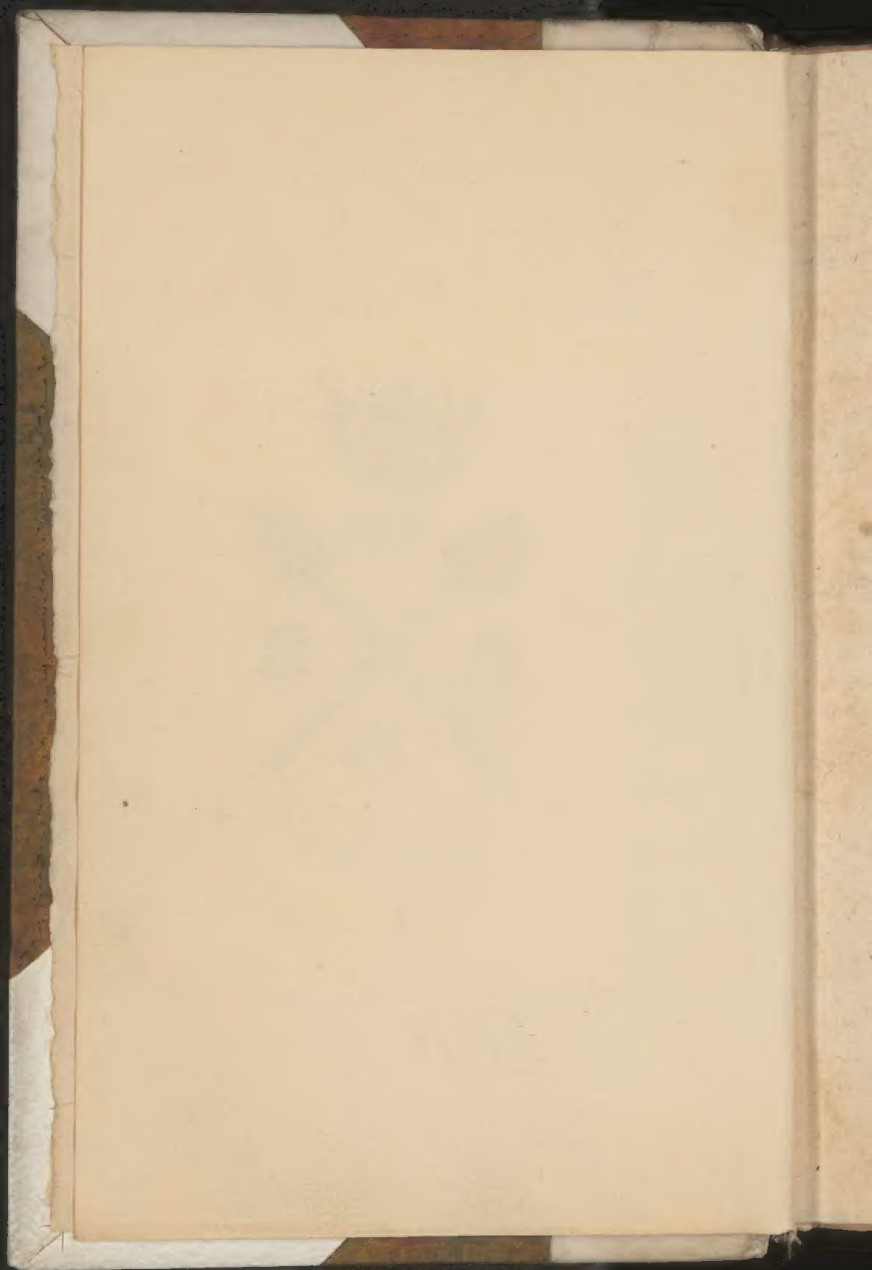
I

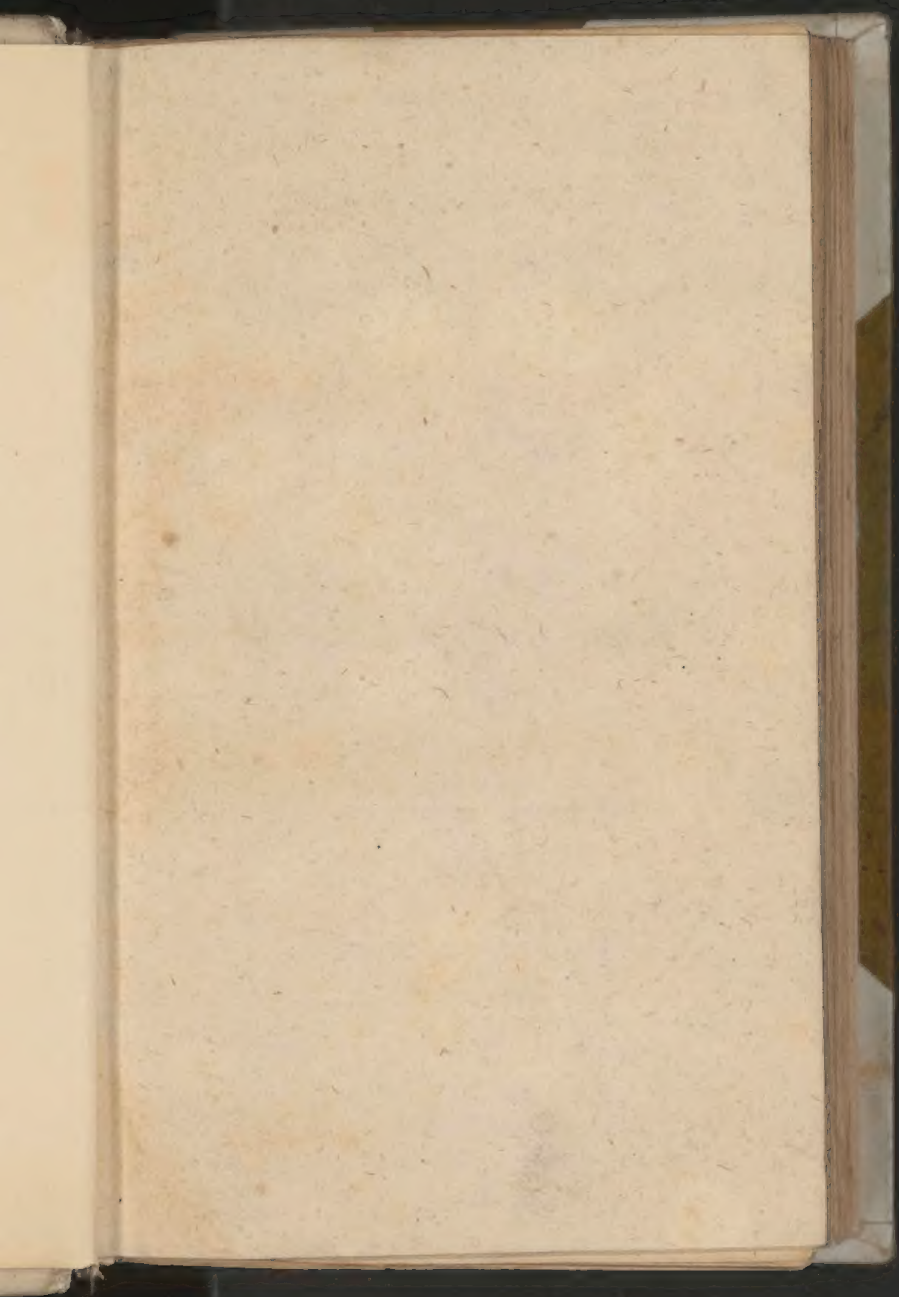


105472

I









AWANTURY
ARABSKIE
LUB
TYSIĄC
NOCY
Y
IEDNA

W JĘZYKU FRANCUZKIM

PRZEZ

J. M. P. GALAND

WYDANE,

A SWIEŻO

NA JĘZYK POLSKI

DLA PUBLICZNEY

SATYSFAKCJI

PRZETŁUMACZONE.

TOM III

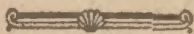
Za pozwoleniem Zwierzchności.

w WARSZAWIE 1774.

NAKŁADEM MICHAŁA GREŁA,
J. K. Młi Komisarza y Bibliopoli, w Marywilu
No. 19. pod znakiem Póétow,

A

TYSIĄC NOCY
Y
IEDNA
AWANTURY
ARABSKIE.



CZĘŚC TRZECIA.

THE
FAMILY
BIBLE
FOR
THE
SCHOOL
AND
HOME



po
ie
ci
Pe
fz
w
w
da



HISTORIA SYNDBADA MORSKIEGO.



Najjaśniejszy Panie, pod panowaniem tegoż Kalify *Harouna Al-raszyda*, o którym nie dawno miałem mówę, był w *Bagdadzie* pewny Drążnik ubogi, nazwany *Hindbad*. Dnia iednego podczas wielkiego upału, niósł znaczny ciężar, z iednego, aż do drugiego końca Miałta. Ponieważ bardzo zfatygował się podróżą, a ie- szcze mu ią daley potrzeba było kontynuować, wybieżył na ulicę w ktorey miły wietrzyk powiewał, a bruk skropiony różową wodą, wonny wydał zapach. Sądząc, że nie mógł nawet pragnąć

spodobniejszego do spoczynku miejsca, złożył
swoy ciężar na ziemię y usiadł na nim okolo wpa-
niałego iednego Domostwa.

Bardzo sobie sam w krotce dziękował, że się
na tym zatrzymał miejscu: miła albowiem won-
ność drogiego Aldelfowego olejku, y troćcieczek,
wyciskająca się przez okna owego Pałacu y mie-
szająca się z zapachem różowej wodki, miłą po-
woniennie jego napełniła roskoszą, y po całym
rozchodziła się powietrzu. Oprocz tego usły-
szał miły różnych instrumentow odgłos, złączo-
ny z przedziwnie zgodnym wielkiej liczby sto-
wikow, y innych znajdujących się w Bagdadzie
ptaśząg, śpiewaniem. Owa nader miła melodia,
y wdzięczny wielu potraw zapach, były przy-
czyną, że sądził iż w Pałacu tym zapewne iaki
był bankiet, lub że się w nim dla rozrywki iakiej
rozwieselano. Pragnął się dowiedzieć, ktoby
mieszkał w owym Pałacu, którego dobrze nie
znał; nie przytrafiło mu się albowiem często
przez tę przechodzić ulicę. Ażeby w tym swo-
iej uczynił dosyć ciekawości, zobaczywszy nie-
których służących wspaniale przybranych, stoją-
cych w Bramie, zbliżył się do nich, y z nich spy-
tał się iednego, iakby się nazywał Pan owego Pa-
łacu. Jako? odpowiedział mu służący, jesteś
obywatel *Bagdadzkim* a nie wiesz że to iest Pa-
łac JMci Pana *Sulbada Morskiego*: owego ar-
cy sławnego dla swoich podroży Kupca, który to
wizytłkie, ktorekolwiek słońce oswieca, zwiedził
mo-

morza? Drażnik, który już przedtym cokolwiek słyszał o wielkich *Syndbada* bogactwach, pragnąc poczęł poznać się z tym człowiekiem którego stan tyle zdawał mu się być szczęśliwym, ile swoy pozyskiwał za nędzny y godny opłakania. Mając rozum różnemi przytłumiony reflexyami, w zniósł oczy ku Niebu y rzekł głośno, że go słyszeć było można; Wszemmocny Stworco wszystkich rzeczy, zważ iak wielka między mną y między *Syndbadem* znajduje się różnica: ia codziennie niezliczone ponoszę fatygi y nędze, y ledwie mogę się wyżywić z familią moją grubym ięczmieniem chlebem, a szczęśliwy *Syndbad* obfitemi rozrzutnie szafuje bogactwy, y pełne delicyi prowadzi życie. Coż uczynił dobrego, żeś mu tak szczęśliwy los naznaczył? Cożem nieszczęśliwy przewinił, żeś mi tak nieznośny przeznaczył wyrok? Te kończąc słowa, poczęł bić nogą w ziemię, iako człowiek dla zbytniego żalu w ostatniey zostający desperacyi. Temi się jeszcze okropnemi zabawił myślami, gdy uyrzwał wychodzącego z Pałacu Sługę, który przystąpiwszy do niego, y wzięwszy go za rękę, rzekł: podź za mną, JMé Pan *Syndbad* moy Pan chce się z tobą rozmówić. Dzień który się pokazał nie pozwolił *Szecherazadzie* kontynuować tey historyi; lecz na zaiutrz tak się do niey powróciła.

LXX. NOC.

Nayjaśniejszy Panie, łatwo sobie Wasza Cesarska Mość wnieść możesz, że komplement ten w nie małe *Hindbadu* wprowadził zadumienie, y boiaźń. Przypomniawszy sobie swoy dyskurs, słusznie się obawiał, ażeby go *Syndbad* nie ukarał; przeto ekuzował się, że nie mógł żadnym sposobem w pośrodku ulicy zostawiać ciężaru: lecz Sługa *Syndbada* upewnił go, że miano mieć na ciężar jego oko, y wypełniając rozkaz swojego Pana, poty mu się naprzykrzał, pokiiego zadość nie uczynił woli.

Wprowadzony Drążnik od Sługi do wielkiej sali, zobaczył wielką liczbę Ofob, siedzących około Stołu wyborncmi zastawionego potrawami. Na naywyższym mieyscu siedziała arcy poważna Ofoba, urodziwa, y dla długiey brody godna poszanowania, a za nią stała niezliczona gromada Dworzan y sług, którzy iedni drugich w czynieniu tey usługi wyprzedzali. Ubogi Drążnik, którego to pomieszanie dla wielkiej liczby godnych ludzi, y apparencyi wspaniałego bankietu, wielce się pomnożyło, drżąc od boiaźni, głęboki całej kompanii uczynił ukłon. *Syndbad* rozkazał mu zbliżyć się, y posadziwszy go na prawey stronie, ręką mu swoją podawał potrawy, potym rozkazał mu dać arcy wybornego wina, pod którym ugiął się kredens.

Przy końcu bankietu, *Syndbad* uważając, że
już

już goście nie iedli, zabrał głos, y obrociwszy się do *Hindbada*, ktorego według zwyczaju Arabskiego, w podusałym dyskursie, mianował swoim Bratem, spytał go się: iak się nazywał? y iakiey był profesyi? Panie, odpowiedział mu Drażnik, nazywaią mię *Hindbadem*. Bardzo się z tego cieszę: rzecze *Syndbad*, że cię tu oglądam y przyrzekam ci, że obecność twoja nie mniej jest miłą caſey kompanii; lecz chciałbym informować się od ciebie samego, o tych słowach, ktoreś niedawno na ulicy głośno wymowił. *Syndbad* albowiem, nim usiadł do stołu, wysłuchał całego tego dyskursu siedząc przy oknie, y to było przyczyną, że go kazał do siebie przywołać.

Na te pytanie, *Hindbad* cały napełniony wstydem, nisko skłoniwszy głowę, odpowiedział: Panie, przyznaję ci się, że ciężar mój wprowadził mnie w zły humor; wyprowadził gwałtem z moiego serca, niektóre mniej dyskretne słowa, za ktore pokornie cię przepraszam. Ale nie bądź tey opinii, rzecze *Syndbad*, ażebym miał być tak niesprawiedliwym, ażebym zjadł iaką ku tobie w sercu chował urazę. Wchodzę dofskonale w twoy stan nieszczęśliwy, nie tylko nie mam ci za złe twoiego szemrania, y uskarzania się, ale nadto prawdziwe nad tobą czuję politowanie; potrzeba jednak, ażebyś cię z tego, w którym względem mnie zostaiesz, wywiódł błędu. Rozumiesz podobno bez wątpienia, że bez trudności y pracy doczekał się tych wygod, y

spoczynku, ktorego zażywam; nie myślę się więc-
 ecy w tcy mierze. Nie pierwey tego tak szczę-
 śliwego dostąpiłem stanu, aż przez wiele lat wiel-
 kie prace y farygi, iakie tylko rozum ludzki poiąć
 może, wycierpiawszy. Tak jest nie inaczej, Pa-
 nowie moi, przydał, obracając się do całej kom-
 panii, śmieie rzeć mogę, że prace moje ktorem
 poniosł tak są extraordinarynie ciężkie, że Oso-
 bom nawet nayłakomśzym na bogactwa, powin-
 nyby odebrać fatalną szukania ich po morzu chci-
 wość. Słyszeliście podobno barūzo nie doskonałe,
 y bardzo mało, o strasznych moich awanturach,
 y o niebezpieczeństwach w których zostawałem
 na morzu, podczas siedmiu moich podróży, teraz
 ponieważ podaie mi się do tego okazy, zechcę
 ie wam zupełnie opowiedzieć, pewny jestem, że
 ich miłe będziecie słuchać.

Aże *Syndbad* chciał opowiadać swoje hi-
 storyę partykularnie z okazyi Drażnika, nim iā
 zaczął rozkazał ażeby ciężar zostawiony na uli-
 cy, na mieysce na ktore *Hindbad* żądał, zaniesio-
 no. Ten wydawłszy rozkaz, wte mówić zaczął
 śłowa.



HISTORIA
O
SYNDBADZIE
MORSKIM.
PIERWSZA PODROZ.

Odziedziczyłem dosyć znaczne do familii moiey należące dobra, straciwszy ich większą część na deboszach, y rozpustcie, poznałem się na moim zaślepieniu; y reflektowawszy się uznałem, że bogactwa są znikome, y że ie łatwo każdy utracić może, ieżeli ich menażować nie zechce. Zreflektowałem się oprócz tego, że trawił y tracił nadaremnie w nierządnym życiu czas, który ieśt naydroższą y nayzaczownieyszą w świecie rzeczą. Przywiodłem sobie na pamięć słowa wielkiego *Salomona*, które niegdys tyszałem od mego Ojca: że lepiey ieśt być w grobie, aniżeli w uboŃstwie. Tknięty do żywego temi reflexyami, zebrałem z pilnością ostatki mego dziedzictwa; Przedałem na aukcy publiczney wszystkie, ktorem magł mieć meble, y ruchomości; złączyłem się potym z niekrotymi Kupcami prowadzącymi handel moutki, y naradziłem się tych ktorych widzialem zdolnych do dania mi rady. Na ostatek rezolwowałem się, dorabiać się tą małą pozostałą mi kieszce sum-

ką, y

ka, y natychmiast zaczęłem przyprowadzać do skutku tę moję rezolucyą. Udałem się do *Balfory*, * do ktorey przybiłem z wielą Kupcami na okręcie, którzyśmy sobie sprawili za złożone proporcjonalnie pieniądze.

Rozwinęliśmy żagle, y udaliśmy się ku wschodnim Indyom odnogą Perską, która iest między Arabią szczęśliwą y Krolestwem Perskim; długa będąc według zdania powszechnego wszystkich, na mil 70. Za tą odnogą morze wschodnie iest arcy obfiterne: z iedney strony graniczy z Abissynią, rościągając się wzdłuż 4. tysiące pięćset mil aż do wysp *Wak-Wak*. ** Attakowała mnie z początku choroba ordynaryjna morska, lecz w krotce przyszedłem do zdrowia, y więcej tej chorobie nie byłem podległy.

Podczas żeglugi naszej, przybiliśmy do wielu wysp, na których albośmy przedali, albo wymienili nasze towary. Dnia iednego płynąc, gdy nam wiatr ustał, niedaleko malenkiey wyspki, która to w pośrodku wody wydawała się, iak śliczna zielona łąka, Kapitan okrętu, rozkazał zwinąć żagle y pozwolił wypocząć na ziemi wszystkim będącym na okręcie, którzy sobie tego życzyli. Byłem w liczbie tych, którzy na ową wyspę wysiedli.

Lecz

* Port morski przy odnodze Perskiey.

** Wyspy te według Arabow są za Chińskim Państwem, nazywają się tym imieniem od owocu tak nazwanego który się w nich rodzi; są to bez wątpienia wyspy Japońskie, nie są iednak tak oddalone od Abissynii.

Lecz gdyśmy przepędzali czas na jedzeniu y pićiu, spoczywając sobie po morskich fatygach, wyspka zaczęła się trząść, tak mocno, żeśmy się na nogach utrzymać nie mogli.

Natych słowach *Szecheraza* da zatrzymała się; postrzegła albowiem, że się już dzień pokazywał. Przy końcu następującej nocy tak wrociła się do swojego dyskursu.

LXXI. NOC.

Nayiaśniejszy Panie, *Syndbad* kontynuując swoją historiją rzekł: będący na okręcie postrzegłszy trzęsienie wyspy, krzycheć na nas poczęli, ażebyśmy czym prędzey wiadali do okrętu, przelstrzegając nas, żeśmy bliscy byli zguby, ponieważ wyspa ta mniemana była grzbietem wieloryba. Ci którzy byli nayostrożniejszy uciekali czym prędzey do batu, inni rzucili się w morze, y popłynęli ku okrętowi, ja zostałem się na wyspie albo raczej na grzbiecie wielorybym. Gdy się owa ryba zanurzyła w morzu, ledwie znalazłem cokolwiek czasu, do uchwycenia się za kawał drzewa, które było przyniesione z okrętu, na rozpalenie ognia. Tym czasem Kapitan okrętu zabrawszy ludzi, którzy byli wbaćcie y tych którzy się byli wpław rzucili, y profitując z nowego pomyslnego wiatru, który się był wszczął, rozkazał rozwinąć żagle, a przeto wszelką mi dostania się do okrętu, odebrał nadzieję.

Zosta-

Zostawiony więc byłem na dyskretyą bałwanow morskich, rzucany będąc raz na tę, drugi raz na ową stronę. Nie dałem im sobie wydrzeć życia przez resztę tego dnia, y przez całą następującą noc. Na zaiutrz ustałem na łisach; y już pewney wyglądałem śmierci, gdy mię znaęła fala szczęśliwie wyrzuciła ku pewney wyspie. Brzegi tej wyspy były wysokie, y przykre; y wielką bym był w wydrapaniu się na nią miał trudność, gdyby natura łaina na moje ocalenie nie zachowała była w owym miejscu nie których korzeniow drzewowych, których uchwyćiwszy się, łatwom się dostał do lądu. Rozciągnąłem się na ziemi w poł prawie będąc umarłym, leżałem pory, poki dzień nie zaiśniał y nie weszło słońce.

Wtenczas, lubom bardzo był słaby, dla wielkiej morskiej fatygi; tudzież dla tego, żem żadnego już dzień drugi nie wziął pożywku, czółgałem się po wyspie, szukając dobrych do iedzenia żiołek. Znalazłem przecie nie które, y szczęściem napadłem na źródło wyśmienitey wody, która mi nie mało do odebrania sił służyła. Pokrzepiwwszy się, począłem przechodzić się po wyspie nie trzymając się pewney drogi. Wyłedłem na piękną rowning, na ktorey zobaczyłem zdaleka pałęcego się konia, udałem się czymprędzey w ową stronę, passując się z boiaźnią, y radością: nie byłem albowiem pewny ieżelim raczey właściu mojemu nie szukał zguby, a niżeli okazyi ocalenia życia. Poznałem zbliżywszy się, że to by-

ła klacz przywiązana do pala. Piękność iey obrocila ku sobie moje oczy; lecz gdym się iey przypatrywał, ułżyłam głos człowieka mówiącego pod ziemią. W krotce potym pokazał się ow człowiek, przyszedł ku mnie, y spytał się ktobym był. Odpowiedziałem mu moją awanturę, tu wziąwszy mię za rękę zaprowadził do iaskini w ktorej było więcej ludzi, którzy zobaczywszy mię nie mniey byli zadziwieni iak ja, żem ich na owym oglądał mieyscu.

Pożywiwszy się temi ktore mi ofiarowali potrawami, spytałem się ich, coby robili na mieyscu tak opuszczonym? Na co odpowiedzieli mi: iestleśmy Masztalerze Krola *Michraga* Pana tey wyspy: Roku każdego o iednymże czasie, przyprowadzamy tu Krolewskie klacze, przywiązując ie tak, iakoś widzieli; a to dla spuszczenia ich z koniem morskim wychodzącym z morza: koń morski, po złączeniu się z klaczami, chce ie pożerać; lecz hałałem y krzykiem naszym sprawiamy, że musi uciekać do morza. Klacze zrzebne odprowadzamy, zrodzonych z nich koni, nazwanych końmi morskiemi, sam tylko Krol nasz zżżywa. Przydali do tego że już na zaiutrz odiechdzać mieli z tey wyspy; y że gdybym był choć dniem później do niey przybył, zginął bym był bez wątpienia, kraie albowiem mieszkanie od ludzi były z daleka od tey wyspy, y trafić do nich bez przewodnika była rzecz nie podobna.

W tym czasie, w ktorym zenną rozmawiali,
koń

koń morski wyszedł z morza iako mi przepowiedzieli; rzucił się na klacz z łączył się z nią, y chciał ją potym pozrzeć; lecz na krzyk wielki Masztalerzow porzucić ją y zchować się w morze musiał.

Na zaiutrz udali się w podróż do stołeczne-go wyspy Miałta razem z klaczami, y iani się też do nich przyłączył. Za przybyciem naszym, Krol *Michrag* któremu byłem prezentowany, spytał mnie się kto bym był, y iakaby mię awantura do iego zapędziła Państwa? Jak tylko zupełnie w tey mierze uczyniłem dosyć iego ciekawości, oświadczył mi, że bardzo nad nieszczęśliwym moim ubolewał losem. Rozkazał przytym ażeby o mnie miano staranie, y dano mi wszystko, czegokolwiek bym potrzebował; rozkaz owego Monarchy, z wielką pilnością był wypełniony, tak dalece, że miał przyczynę wychwalać y Jego wspaniałość, y Ministrow Jego regularność.

Aż byłem Kupcem, uczęszczałem do ludzi rż słoń zabawiących się professyą, szukałem osobiwie z pilnością przeieżdżających Kupcow, tak dla powzięcia iakiey z *Bagdadu* wiadomości, iako też dla nalezienia kogo, z którym bym mógł do Stolicy powrócić się Ojczyzny; Stolica albowiem Krola *Michraga*, położona jest przy morzu, y ma arcy wygodny port, do którego codziennie ze wszystkich części świata przybłają okręty. Znajdowałem się także często w kompaniach Indyjskich Mędrcom z wielkim ukontentowaniem
ich

ich
dnak
poko
fzem
przy
zadaw
też w
wach
ko, co
iey ci

wyfp
wyfp
tłowy
na ow
cyż.
właśn
na sto
boiaż
żliwe,
Widz
maiąc

że prz
lądu.

Ty

* D
n
ś
M
b

ich słuchać konwersacyi; nie zaniedbałem iednak dla tego regularnie chodzić na Krolewskie pokoje, y konwersować z Rządcami, y pomniejszyemi Krolami hołdującemi temu Monarsze y przy Jego zostającemi Dworze. Tysiączne mi zadawali względem moiey Oyczyzny kwestye, ia też wzajemnie, informując się o obyczajach y prawach ich Państw, wypytywałem się o to wszystko, cokolwiek mi się zdawało bydź godnego moiey ciekawości.

Znayduie się w Państwie Krola *Micbraga* wyspa nazwana *Kassel*. Powiadano mi, że na tey wyspie każdej nocy dawał się słyszeć odgłos kotłow; co dało okazyą słysom do mniemania, że na owym mieyscu *Degial* * miał swoię rezydentcyą. Wielką powziąłem chęć słyszeć ten cud na własne uszy, y w moiey podróży widziałem ryby na sto y na dwieście łokci długie, więccy iednak boiaźni, aniżeli złego sprawujące. Tak są boiaźliwe, że na iedno stuknienie w deszczkę uciekają. Widziałem drugie ryby na łokieć tylko długie, mające głowy takie iako ma sowa.

Po moim powrocie, bawiąc się trzy dni całe przy porcie, użyżrzałem okręt przybitiający do lądu. Jak tylko zarzucono kotwice, poczęto wy-

Tys. Noc. yied. Tom III. B no-

* *Degial* u Mahometanow toż samo znaczy co u nas Antychryst, według nich przydzie na końcu świata, podbić sobie całą ziemię procz Mekki, Medyny, Tarfu, y Jeruzalem, ktorych to Miał bronić będą Aniołowie.

nosić towary, a Kupcy do których należały rozkazywali je przenosić do magazynów. Rzućwszy oczy na niektóre paki y na podpisy wyrażające do kogo należały, zpostrzegłem na wierzchu iedney paki moje imię, czemu gdym się z pilnością przypatrzył, wątpić nie mogłem więcej, że to były te towary, które będąc w *Balzorze* włożyłem na okręt. Poznałem nawet Kapitana okrętu, lecz że wyperfwadowany byłem, iż on rozumiał że ja już nie żył, przytąpiwszy: spytałem go się, do kogo by owe postrzeżone ode mnie należały paki. Miałem na moim okręcie, odpowiedział mi, Kupca iednego *Bagdackiego*, nazwanego *Syndbad*. Dnia iednego przejeżdżając około iedney wyspy, iak się nam zdawało, zażłanowiliśmy się koło niey, Kupiec rzeczony z wielą innemi, wysiadł na inniemaną wyspę, która w samey rzeczy była grzbietem niezmierney wielkości wieloryba, na wierzchu wody spiącego. Ledwie co ta poczwara uczuła ogień, który na iey grzbiecie dla zgotowania obiadu rozpalono, natychmiast zaczęła się ruszać, y zanurzać w morze, wiele znaydujących się na niey osob utonąło: y nieszczęśliwy *Syndbad* był z ich liczby; te paki do niego należały, teraz umyśliłem handlować niemi poty, poki ktorego krewnego iego nie znaydę, ktoremubym cały z nich zysk mógł oddać. Poczciwy Kapitanie, rzekłem do niego, iak iestem ten *Syndbad*, ktorego ty masz za umarłego, y te paki są moje — — *Szechernazada* tej nocy

na tym stanęła; lecz na zaiutrz tak się wrociła do swego dyskursu.

LXXII. NOC.

Gdy Kapitan okrętu usłyszał mię tak mówiącego: o Wielki BOZE zawołał, komuż teraz można wierzyć? Niemasz już w ludziach kawałka poczciwości! widziałem na moje własne oczy ginącego *Syndbada*; podróżni będący na moim okręcie toż samo widzieli; a ty śmiesz twierdzić, że jesteś *Syndbadem*? Y możesz byź większa czyia zuchwałość? Na pozor здаiesz się byź człowiekiem poczciwym, a przecie dla dostąpienia dobra cudzego, śmiesz tak wielkie popełniać kłamstwo? Bądź cierpliwym, rzekłem do Kapitana, a wysłuchaj co ci powiem. Dobrze, odpowiedział mi, mow co masz mówić, słucham cię chętnie. Tu zacząłem mu opowiadać, iakim sposobem uszedłem śmierci; y iaką awanturą znalazłem Maształerczow Krola *Michraga*, ktorzy mię do Jego przywieźli Dworu.

Wzruszył się tym moim dyskursem; lecz bardziey ieszcze był wyperfwadowany, że nie był Impostorem, gdy wielu ludzi przyśzedłszy z okrętu, poczęli mię witać, oświadczając swą z widzenia mnie radość. Na ostatek poznał mię y sam, y rzuciwszy się na moję szyję rzekł: niech będzie BOG pochwalon, żeś szczęśliwie z tak wielkiego wybrnął niebezpieczeństwa; nie mogę ci

dostatecznie wyrazić iak wielkie ztąd mam ukontentowanie. Oto iest twoia praca, weź ią y iak chcesz nią dysponuy. Podziękowałem mu za tę iego łaskę; wychwalać począłem iego pocztliwość, na ktorey zawdzięczenie, ofiarowałem mu nie ktore y podarunku towary, lecz ich przyiąć niechciał.

Wybrałem potym w pakach, co tylko było naydroższego y nayszacowniejszego, y podarowałem Krolowi *Michragowi*. Monarcha ten wiedząc doskonale w iakim zostawałem niebezpieczeńściu, spytał mię się, zkąd bym tak szacownych y tak rzadkich dostał rzeczy? Opowiedziałem mu iakim trefunkiem odzyskałem moje towary; dobry ow Pan oświadczył ztąd swoją radość, przyiął mile moy prezent, y hoynie mi się zań wypłacił. Tu pożegnałem się z nim, y odiechałem na tymże samym okręcie. Pierwey iednak przed moim wyiazdem, wymieniałem moje towary pozostale, za inne w owym kraju znajdujące się bogactwa. Nabrałem wiele drzewa alôsfowego, sandałowego tudzież kanfory, muszkatowych gałek, gwoździków, pieprzu, y imbieru. Przeciechaliśmy przez wiele wysp, a na ostatek przybiliśmy do *Balsfory*, z ktorey przyiechałem do tego Miaśta, mając iuż około dwoch tyśięcy cekinow. Krewni moi, mile mię przywitali, y iam ich oglądał zeską radością, iaką tylko rzetelna y szczerza przyiaźń wzniecić może w ludzkim sercu, nakupiłem oboiey płci Niewolników, nabyłem wiele

grun-

gruntow, y wystawiłem sobie wielkie Domostwo. Tak tedy ugruntowałem się, mając przedsięwzięcie odpoczywać po wielu trudach, y pełne rokoszy prowadzić życie.

Syndbad w tym miejscu przestawszy mówić, rozkazał Kapeli grać na instrumentach, y wrócić się do koncerćków, które im opowiadaniem swoiey historyi był przerwał. Jedli y pili, aż do wieczora, znaydający się w kompanii Goście; a gdy już czas był rozeyścia się, *Syndbad* rozkazał sobie przynieść kieszę mającą w sobie sto cekinow, y dając ją Drążnikowi: weź to *Hindbadzie*, rzekł do niego, idź teraz do siebie, a dnia jutrzejszego przyjdź tu do mnie, ażebyś reszty wysłuchał moich awantur. Drążnik wyszedł od niego napelniony radością, nie mniey dla honoru, iako dla darowizny, którą odebrał. Relacya, którą o tym czynił w Domu, arcy była miła Zonie jego, y dzieciom: nie omieszkali wszyscy razem oddać dziękczynienia Boskiey Opatrzności, za dobrodziejstwo, które im uczyniła, zażywając do tego za instrument *Syndbada*.

Hindbad nazajutrz ubrał się przystoyniey aniżeli dnia przeszłego, y powrócił się do wspólnego Kupca, który go arcy mile przyjął, tyśiąc mu przychylności swoiey oświadczając dowodow. Jak tylko Goście pochodzili się, dano iść, y długo siedziano u stołu. Po skończonym bankiecie, *Syndbad* zabrał głos, y obrociwszy się do kompanii: Państwo moie, rzekł, proszę was o

audyencyą, y żebyście awantur moich podczas drugiej moiey podróży, łaskawie słuchać chcieli. Upewniam że są godnieysze ieszcze waszey atencji, aniżeli pierwsza podróż. Wszyscy narychmiał nćiszyli się, a *Syndbad* w te słowa mówić zaczął.

DRUGA PODROZ S Y N D B A D A M O R S K I E G O.

Po pierwszej moiey podróży, umyśliłem resztę dni życia spokojnie przepędzać w *Bagdadzie*, iakom iuż miał honor wam opowiedzieć dnia wczorayszego. Lecz nie zabawem naprzykrzyło mi się próżnowanie: chęć żeglownia po morzu powtórnie mię opanowała: pokupowałem towary przyzwoite handlowi, który zamyślałem prowadzić y wyiechałem powtórnie, z innemi iuż Kupcami o których nie powątpiwałem poczeiwości. Wyiechaliśmy na dobrym okręcie; y poleciwszy się *BOGU* zaczęliśmy naszą żeglugę.

Płynęliśmy od wyspy do wyspy, na każdej znacznie zarabiając. Dnia iednego przybiliśmy do iedney wyspy mającey na sobie wiele rodzajow drzewek owocowych, lecz tak opuszczoną, że żadnego na niey nie oglądaliśmy Domostwa, y
żadne-

żadnego Człowieka. Dla ochłodzenia się po-
częliśmy chodzić po zielonych łąkach, które wie-
le rzek oblewało.

Gdy jedni rozrywali się zbieraniem kwia-
tów, drudzy zabawiali się rwaniem owoców, ja
wziąłem cokolwiek żywności y wina z okrętu, y
siadłszy sobie blisko wody będącej pomiędzy
dwoma wielkimi drzewami czyniącemi cień,
począłem się posiłać. Podiadłszy dobrze, zasną-
łem. Nie mogę wam powiedzieć ieżelim dłu-
go spał, albo nie; lecz gdym się przebudził, okrę-
tu już nie było.

Szecherazada na tym miejscu musiała za-
kończyć swój dykurs; dzień albowiem już zbli-
żał się; lecz w nocy następującej kontynuowała
drugą podróż *Syndbada*.

LXXIII. NOC.

W wielkim zostawałem podziwieniu, mówiąc
daley *Syndbad*; żem nie widział okrętu na
kotwicy; wstałem y obzierałem się po wszystkich
stronach, lecz żadnego niewidziałem Kupca z tych
wszystkich, którzy zemną z okrętu wysiedli na wy-
spę. Zobaczyłem tylko okręt płynący; lecz tak
oddalony, że w krotce zniknął z moich oczów.

Możeście sami miarkować, jakimim się w
tym nędznym stanie moim, dręczył reflexyami.
Rozumiałem że już od żalu wielkiego umrę; wy-
dawałem straszne jęki, biłem głowę o ziemię, y

upadłszy cały, nie zliczonemi okropnemi nudziłem się myślami: wyrzucałem sam sobie niegodziwość, że nie kontentowałem bogactwymi zebranemi podczas pierwszej mojej podróży, które wszelkie moje żeglowania po morzu ugasić powinny były pragnienie. Lecz wszystkie te moje żale były niepożyteczne, y skruchą nie wczesną.

Na ostatek puściłem się na wolę Boską, y nie wiedząc co się ze mną miało stać, wdrapałem się na wierzchołek wysokiego drzewa, zkąpaliśmy po wszystkich stronach, jeżeli bym nie zobaczył czego, coby mi jaką uczynić mogło nadzieję. Patrząc po morzu, samą tylko widziałem wodę, y Niebo; lecz zobaczywszy na ziemi rzecz jakąś białą, spuściłem się z drzewa, y zabrawszy trochę pozostałych żywności, szedłem ku owej bielejącej się rzeczy, która tak odemnie była oddalona, że żadnym sposobem coby była, rozeznąć nie było można.

Gdy już byłem w pomiernej od tej rzeczy bliskości, poznałem że to była bania biała, niezmiernie wielkości. Przytąpiwszy do niej blisko przez dotknięcie doświadczyłem, że była bardzo miętka. Chodziłem o koło niej w koło uważając jeżeli by gdzie nie było dziury; lecz żadnej nie znalazłem, tak była gładka że osądziłem za rzecz niepodobną, ażeby na nią można było wyleść. Okrągłość jej przynajmniej 50. zawierała w sobie kroków.

Słońce już się miało w ten czas ku zachodowi,

wi,
iaka
owa
szcze
gdy
niez
Przy
Sk
iacy
nad
Jako
iaiu,
szcz
iaia,
tego
ktor
gi t
ipoc
zau
ney
noc
y ta
dzie
kim
tylk
czy

wi, Niebo zachmurzyło się iakoby było wielką iaką zasłonioną chmurą, lecz jeżeli pochurność owa sprawiła mi podziwienie, w większym jeszcze miałem przyczynę zostawać podziwieniu gdy zobaczył, że ciemność tę sprawował ptak niezmierny wielkości zbliżający się ku mnie. Przywiodłem sobie na pamięć ptaka nazwanego *Skala* * o którym slyszalem Flisow rozmawiających, y domyśliłem się, że wielka owa bania, nad którą dziwiłem się, była tego ptaka iaiem. Jakoż spuścił się ow ptak y położył się na rym iaiu, iakoby chcąc go wysiadać. Widząc go spuszczaiącego się przycisnąłem się bardzo blisko do iaiu, tak dalece, że blisko mnie bardzo była noga tego ptaka, tak gruba, iak może bydź naygrubsze które drzewo. Przywiązałem się mocno do nogi tej płotnem, które było przy moim zawoju; śpodziewaając się, że ten ptak nazwany *Skala*, nazaiutrz poleciawszy, miał mię wynieść z opuszczonej wyspy; iakoż przepędziwszy w tym stanie noc całą, iak tylko dzień zaiśniał, ptak poleciał, y tak mię podniósł w górę, żem ledwie mógł widzieć ziemię, spuścił się potym znagła z tak wielkim impetem, żem się bynajmniej nie czuł. Jak tylko ptak ow *Skala* stanął na ziemi, odwiązałem czym prędzey węzeł, którym byłem przywiązany

B 5

ny

* Marek Paweł w swoich podróżach, y Xiądz Martyni w swejey Historji Chińskiej mają mowę o tym ptaku, y twierdzą że porywa słonie nawer y iednorożce.

ny do iego nogi; ledwie com się rozwiązał, gdy dziubem swoim uderzył nie zmierney wielkości węża, porwał go, y znim poleciał.

Mieysce na którym mię zostawił była dolina arcy głęboka, otoczona ze wszystkich stron gorami tak wysokimi, że wierzchołki ich ukrywały się w obłokach, y tak przykre mi, że nie można było znaleźć żadney drogi przez którąby się na nie można było wydrapać. Nowym to dla mnie było ambarassem, y komparując mieysce to do wyspy opuszczoney, którą porzuciłem, uznałem że bardzo mało zyskał w przemianie.

Przechodząc się po dolinie, zobaczyłem że była cała napełniona dyamentami, z których nie które były extraordinaryney wielkości: widowisko to dziwnie mię ukontentowało, lecz uyrzałem wkrótce inne obiekta, które nie mało ukontentowanie moje zmniejszyły, y na które bez boiaźni zapatrywać się nie mogłem. Te zaś nie inżego nie były tylko niezmierna węzów tak długich y grubych mnogość, że żadnego z nich nie było, któryby nie mógł porzec słońca. Uciekali nadzień owi węże do iaskiń, kryjąc się przed ptakiem nazwanym *skatą* swoim wielkim nieprzyjacielem, a w nocy z nich wychodzili.

Przepędziłem dzień cały przechodząc się po dolinie, y odpoczywając czasami na mieyscach, które mi się zdawały naywygodniejszye. Tym czasem słońce zaszło, na noc wlaźłem w wydrą-

drążoną skałę, w ktorey rozumiałem że będę bezpieczny. Zamknąłem wchod tej skały ktory był bardzo niski y ciałny, dosyć grubym kamieniem ktory lubo nie dobrze zaślaniał ową dziurę nie był iednak tak rowny, żeby był żadnego nieprzypuścił światła. Ziadłem na wieczerzę cokolwiek pozostałych żywności, w pośrodku sykania węzów zaczynających iuż pokazywać się. Sykania ich straszne napełniły mię boiaźnią y niedopuszczyły mi iako sami miarkować możecie, przepędzić spokojnie nocy. Jak tylko dzień zaiśniał węże do swoich iam pochowały się. Wtenczas wyszedłem drżący z moiey iaskini, y mówić mogę, że m długo deptał dyamenty, żadnego w nich nie mając upodobania. Nakoniec usiadłem, y mimo moiey zgryzoty, ktora mię trapiła, ponieważ nie spałem przez noc całą, usnąłem posiliwszy się powtornie. Ledwie com pierwszy zasypiałem, gdy rzecz iakaś upadająca z gory przy mnie wielkim mię swoim hałasem przebudziła, zobaczyłem że to był wielki kawał mięsa świeżego; postrzegłem że ich więcej spadało z różnych skał w różne miejsca.

Miałem zawsze za baieczkę zkoncypowaną dla rozrywki, wszystko to cokolwiek słyzałem od Flisow y od innych Osob, o dyamentowey dolinie, y dowcipney sztuce, ktorey zażywają nie ktorzy Kupcy w dostawaniu tych szacownych kamieni. Wyperśwadowany byłem na ow czas, że mówili prawdę. Jakoż Kupcy ci, idą do tej doliny wtenczas,

czas, gdy orły, mają małe dzieci. Rąbią mięsa sztuki wielkie, y rzucają je w ow doł, dyamenty kończaste lgną do mięsa. Orły które to w tym Kraiu są arcy mocne, biorą owe mięso y zanoszą je do gniazda, na pokarm swoim dzieciom. Wtenczas Kupcy przybiegłszy do gniazd krzykiem swoim odpędzają orły, y zabierają dyamenty przylepione do mięsa. Tey zażywają sztuki, nie masz albowiem innego sposobu dobycia dyamentow z tego tak nie zgruntowanego dołu.

Aż do owego czasu mniemałem, że mi rzecz była niepodobna wynisć z tey przepaści, na którą się już zapatrywałem, iako na moy grob; lecz odmieniłem natychmiast moy sentyment, y rzecz nowa odemnie postrzeżona podała mi sposób do zachowania moiego życia.

Gdy to mówiła *Szecherazada* dzień pokazujący się nakazał iey milczenie. Nazajutrz iednak tak kontynuowała też samę Historyą.

LXXIV. NOC.

Nayjaśniejczy Panie, (rzekła mając zawsze mowę do Sultana Indyjskiego) *Syndbad* kontynuując swoją drugą podróż: począłem, mówić, zabierać naywiększe dyamenty, ktorekolwiek tylko znalazłem, y napełniłem niemi torbę skorzaną, w ktorej miałem moje prowianty. Wziąłem potym naywiększą sztukę mięsa, y przywiązałem się do niej dobrze płotnem od mego zawoju, y

tak położyłem się brzuchem do ziemi, przywią-
zawszy sobie do pasa worek skurzany tak dobrze,
że żadnym sposobem odwiązać się nie mogł.

Ledwie com to uczynił, gdy orły przylecia-
ły, każdy z nich porwał za sztukę mięsa, a jeden
z nich najmocniejszy porwał mię zkawałem
mięsa do którego był przywiązany, y zaniósł na
wierzchołek góry do swojego gniazda. Kupcy
zaczęli wtenczas krzyżeć, dla zepędzenia orłów,
y gdy już ich zepędzili z gniazd, jeden z nich zbli-
żył się do mnie: lecz stanął w zadumieniu iak tyl-
ko mię postrzegł. Przyszedłszy cokolwiek do
siebie, zamiast informowania się, przez iaką bym
awanturę znajdował się na owym miejscu: po-
czął mię śmiać, pytać mię się, dla iakiebych przy-
czyny odbierał mu iego profit. Będiesz zemną
mówił daleko z większą ludzkością, rzekłem do
niego, gdy mię doskonały poznasz. Nie turbuy
się, przydałem, mam dyamentow tyle, y dla ciebie
y dla mnie, ile ich wszyscy Kupcy razem zebrani
nie mają. Jeżeli mają nie które te są tylko takie,
iakie się im trefunkiem dostaty; lecz ja wybrałem
wdolinie iakiem sam chciałem, y mam je w tcy tor-
bie, którą widzisz. To mówiąc pokazałem mu
skorzaną torbę. Ledwie com skończył mówić,
natychmiast wszyscy inni Kupcy obśtapili mię w
kośo, dziwując się, że na owym zostawał miey-
scu, lecz bardziey ieszcze pomnożyłem ich po-
dziwienie, gdy im całą moję opowiedział hi-
storyą. Nie tak im fortel moy któregoś zażył
spra-

sprawił podziwienie, iako odwaga, żem się na tak wielkie podał niebezpieczeństwo.

Wprowadzili mię do budynku w którym wszyscy razem mieszkali, tam gdym otworzył moją torbę w ich obecności, zadumiewać się zaczęli nad wielkością dyamentow; twierdząc że na Dworze żadnego Krola nie widzieli żadnego tak wielkiego. Prosiłem Kupca, do którego należało gniazdo, do którego byłem od orła przeniesiony (każdy albowiem Kupiec miał swoje gniazdo) ażeby sobie tyle wybrał dyamentow, ile by sam pragnął: on kontentował się iednym tylko, y to ieszcze zprzymniejszych; a gdym prosił go usilnie, ażeby wziął sobie więcey bez boiaźni uczynienia mi krzywdy; nie uczynię tego, odpowiedział mi, dosyć mi iest na tym, który tak wielkiego iest szacunku, że nie potrzeba mi więcey fatygować się podróżami, dla polepszenia moiey fortuny.

Przepędziłem noc zowemi Kupcami, którym drugi raz musiałem powiadać moję historyą, a to dla satysfakcyi tych którzy iey nie slyszeli. Niezmiernym napełniony byłem weselem, gdym czynił reflexyą, żem z tak wielkich w których zostawałem wybrnął niebezpieczeństw. Rozumiałem że stan szczęśliwy w którym zostawałem, był snem tylko, y nie mogłem ieszcze spodziewać się, a żeby mi się co nie przytrafiło złego.

Przez kilkanaście już dni, Kupey owi rzucali mięsło w tę dolinę, a że każdy już dosyć miał dyament-

mentow, wyiechaliśmy na zaiutrz razem; w drodze tey przeiechaliśmy przez wiele wysokich gor, na ktorych wiele bardzo znajdowało się niezmierney wielkości węzow, tych iednak wżyszkich szczęśliwie uchroniliśmy się. Dostaliśmy się do pierwszego portu, zkąd udaliśmy się na wypię nazwaną *Rocha*, na ktorey znajduje się kanforowe drzewo tak grube, y rozłożyste, że sto iudzi może wygodnie odpoczywać pod iego cieniem. Sok z ktorego się formuie kanfora, płynie przez otworzystość, którą umyślnie robią siekierą przy wierzchošku owego drzewa, y zcieka w naczynie, w którym nabiera gęstości, y staje się kanforą. Drzewo kanforowe, iak tylko zniego sok wżysstek wyidzie usycha.

Znajdują się na teyże wypię iednorożce, zwierze cokolwiek mnieysze od słonow, a więkksze od bawołów; ieden tylko maia rog nad nosem, na łokieć długi: rog ow jest twardy, y wpośrodku, od iednego aż do drugiego końca rozdwoiony. Na wierzchu tego rogu, znajduje się białość reprezentująca postać ludzką, iednorożec walczy ustawicznie z słoniem, przebiwszy mu częstokroć brzuch swoim rogiem, dzwiga na swoiey głowie; lecz krew y tustość słonja zalawszy mu oczy, oslepia go, upada na ziemię a tym czasem (co każdemu sprawić powinno podziwienie) prak nazwany *skala*, przyleciawszy porywa ich obydwóch w swoje szpony, y zanosi na żer dla swoich dzieci.

Zamil-

Zamierzam inne na tej wyspie znajdujące się ciekawości, bojąc się, ażebym się wam nie na- przykrzył. Zamieniłem nie które moje dyamen- ty za arcy pożyteczne towary. Ztamtąd poie- chaliśmy na inne wyspy, a na ostatek obiechawszy wiele bardzo Miałt handlownych lądowych, przy- biliśmy do *Balsory* z ktorey potym przyiechalem do *Bagdadu*. Rozdałem najpierwey w tym Mie- ście, wielkie ubogim i ałmużny, y zażywałem ucz- ciwie reszty niezmiernych bogactw nabytych z tak wielką moją pracą y fatygą.

Tym sposobem zakonczył *Syndbad* relacyą o drugiej swoiey podróży. Rozkazał znowu dać *Hindbadowi* kielę o stu cekinach; zapraszając go, ażeby przyszedł na zaiutrz słuhać relacyi o trzeciey podróży.

Goście rozeszli się, każdy do siebie, y w dniu następującym zeszli się znowu na tę samą godzi- nę, przyszedł też y Drażnik zapomniawszy już prawie o swoiey przeszłej nędzy. Usiedli do sto- łu; po obiedzie *Syndbad* uprosiwszy sobie audyen- cyą, trzecią swoię podróż począł opowiadać.

TRZECIA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Latwobym był zapomniał, rzekł do kompanii, o niebezpieczeństwach y fatygach dwóch mo-
ich,

ich podróży; lecz że byłem w porze samey wieku, lubom opływał wrokoścach, zprzykrzyłem sobie w próżnowaniu; y odważywszy się na nowe ieszcze niebezpieczeństwa, ruszyłem się z *Bagdadu* z szacownemi kraiowemi towarami zprowadzonemi do *Balzory*. Zamtąd albowiem wyjechałem z drugiemu Kupcami; długą mieliśmy żeglugę, w wielu byliśmy portach w których wielki mieliśmy znasznych handlow zarobek.

Dnia iednego gdyśmy byli na morzu, fala straszna odprowadziła nas od drogi. Nawalność trwała dni kilka, y zapędziła nas do portu iedney wyspy, do ktorey Kapitan okrętu naszego nie życzył sobie wstępować; przymuszani iednak byliśmy na nią wysieść dla ośuszenia się, gdy żagle zwiniono, Kapitan okrętu rzekł do nas: mieszkańcy tey wyspy y innych pobliskich są obrośli włofami; przydą nas w krotce atrakować. Lubo są wszyscy karłami, potrzeba iednak wyciąga, ażebyśmy bynajmniey im nie opierali się; ponieważ ich jest tak wiele iak szarańczy; y gdybyśmy z nich choć iednego zabili, rzuciliby się na nas wszyscy, y pewney nie użlibyśmy śmierci.

Dzień ktory oświecił apartament *Szachbryara* nie pozwolił *Szczehrazadz*ie więcey mówić. Nocy następującey zabrała głos w te słowa.

LXXV. NOC.

Dyskurs Kapitana, mówił *Syndbad*, nie pomału zafrałował całą kompanią; y doznaliśmy w
Tys. Noc. y ied. Tom III. C krot-

krotce sami, że słowa iego aż nadto były prawdziwe. Uyrzeliśmy niezliczoną mnogość dzikich owych ludzi, szpetnych, mających okryte całe ciało czerwonym włosiem, na dwie tylko stopy wyfokich. Rzucili się w pław w morze, y w krotkim czasie, cały obfaczyli okręt. Mowili do nas; lecz my nierozumieliśmy ich ięzyka, chwyćli się brzegow okrętu y lin okrętowych, y powchodzili aż na sztab ztak wielką prędkością, że nie można widzieć było iezeliby czynili kroki.

Zapatrzywaliśmy się na tę ich robotę z wielką iako sobie miarkować możecie, boiaźnią, nie śmiciąc im bronić, ani żadnego dla odwrocenia ich od przedsięwzięcia, o którego szkodliwości nie powątpiewaliśmy, wymówić słowa. Jakoż rozpuścili żagle, ucięli łańcuch kotwicy nie mordując się nad iey wyciąganiem, y przyprowadziwszy okręt do lądu, rozkazali nam wysieść. Odprowadzili potym okręt do wyspy, z ktorey byli przyszli. Wszyscy podroźni z wielkim staniem unikali tey wyspy, na ktorey my zostawać byliśmy przymuszeni, iakoż była arey niebezpieczna dla przyczyny, którą wam nie zabawem opowiem: potrzeba nam iednak było cierpliwie znosić ten los nieszczęśliwy.

Oddaliliśmy się od brzegu, y chodząc po wyspie, znaleźliśmy niektóre owoce y ziółka, które ieść poczęliśmy dla przedłużenia cokolwiek ostatniego życia naszego momentu; wszyscy albowiem nie uchyloney oczekiwaliśmy śmierci. Cho-

dząc

dząc tu y owdzie, postrzegliśmy z daleka wielki budynek, do którego poczęliśmy dążyć. Był to Pałac piękny, y arcy wyłoki, mający Bramę o dwóch skrzydłach, którą popchnąwszy cokolwiek otworzyliśmy. Weszliśmy na dziedziniec, na którym zobaczyliśmy na przeciwko nam wspaniały apartament, z obłazernym przyślonkiem, w którym z iedney strony był wielki stos ludzkich kości, a zdrugiey niezliczona mnogość różnow. Zadrżeliśmy na te widowisko, a żeśmy się zchodząc byli zfatygowali, nie czuliśmy pod sobą nog, przerażeni śmiertelną boiaźnią, upadaliśmy na ziemię leżąc na niey długo iak nie żywi.

Słońce tym czasem zachodziło, y gdyśmy w tym nieszczęśliwym zostawali stanie, drzwi apartamentu znagła otworzyły się z wielkim trzaskiem, y natychmiast ujrzelismy wychodzącą straszna poczwara, mającą postać człowieka czarnego y wysokiego, iak może być naywyższe palmowe drzewo. W pośrodku czoła ow murzyn iedne tylko miał oko, czerwone, y pałające iako rozpalony węgiel, zęby przednie arcy długie y ostre, wychodzili mu z pyska, który tak był wielki, iak u konia, a wargę spodnią spuszczała mu się aż na pierś. Uszy podobne do słoniowych nakrywały mu ramiona, paznogie miał nakrzywione, y tak długie, iako szpony największego drapieżnego ptaka. Na weyżrzenie na tak straszego olbrzyma odeszliśmy od wszystkich zmysłów, podobni będąc do trupów.

Na ostatek przyśliśmy do siebie, y zobaczyliśmy go siedzącego pod przyfionkiem, y przypatruiącego się nam całym okiem. Przypatrzywłszy się nam dobrze, zbliżył się ku nam, położył na mnie rękę, wziął mię za kark y obracał mię ze wżyskich stron, iako Rzeźnik obraca barana. Gdy mię już dobrze wymacał, żem był chudy poznawszy, położył mię znowu. Wziął potym macać po iednemu drugich, a że Kapitan okrętu był najsłabszy, z całej naszej kompanii, trzymając go iakobym ia trzymał wrobla, przesadził przez niego rozeń; rozpaliwszy potym wielki ogień, upiekł go y ziadł na wieczerzę w swoim apartamencie, do ktorego się udał. Po wieczerzy przyszedł znowu pod przyfionek, układał się, y zasnął chrapiąc z tak wielkim hałasem, z jakim bią pioruny; ten ten iego trwał aż na zaiutrz do poranku. Co się nas tycze, nie mogliśmy skosztować snu słodczy, y przepędziliśmy noc okrutnemi trapiąc się myślami, y niespokojnością. Gdy dzień nastąpił, olbrzym obudził się, wstał, y wyszedł, nas zostawiwszy w Pałacu.

Gdyśmy mogli sądzić, że już od nas był daleko, przerwaliśmy okropne nasze milczenie, w którym trwaliśmy przez noc całą iednemu przydając więcej utrapienia, napełniliśmy cały ow Pałac iękami y płaczem. Jakożkolwiek nas była wielka liczba, y lubo iednego tylko mieliśmy nieprzyjaciela, nie przyszła nam nawet z początku, ani myśl uwolnienia się od niego przez zada-

nie

nie mu śmierci, lubo albowiem przedsięwzięcie te byłoby nader ciężkie do wypełnienia, naturalnie iednak powinniśmy sobie go byli uformować.

Deliberowaliśmy długo iakiegośmy się mieli chwycić sposobu, na żaden iednak nie determinowaliśmy się; poddając się więc pod to wszystko cokolwiekby z nami Bogu podobało się uczynić, przepędziliśmy dzień cały chodząc po wyspie, posilaąc się owocami y ziołkami, iako dnia przeszłego. Koło wieczora szukaliśmy mieysca, w którymbyśmy bezpieczni bydź mogli; lecz żadnego nie znalazłszy, przymuszeni byliśmy powrócić się do Pałacu.

Olbrzym nie omieszkał przyiść do niego, y zieść na wieczerzę iednego z naszych kolegów, potym zasnął y chrapał aż do dnia, w którym to czasie wyszedł, y zostawił nas tak iako był pierwey uczynił. Stan nasz tak się nam zdawał nie-fzczęśliwy, że wielu z naszych kolegów chcieli się raczey utopić w morzu, aniżeli z boiaźnią oczekiwać tak okrutney śmierci, zachęcając także drugich, ażeby za ich poszli radą. Lecz ieden z kompanii zabrawszy głos: nie, rzekł, iest nam wolno odbierać sobie życie; y choćby to się nam godziło, nie iest że iednak rzecz przyzwolifza, y bardziey zgadzająca się z rozumem, ażebyśmy myśleli o iakim sposobie zgładzenia ze świata tey okrutney poczwary, ktora na nasze dyba życie?

Sposobu który mi przyszedł w tey mierze na myśl komunikowałem moim kolegom, kto-

rzy go aprobowali. Bracia moi, rzekłem do nich, wiecie dobrze że jest dosyć drzewa około morza; posłuchajcie proszę moiej rady, pospaliśmy wiele dyłow, któreby nas unieść mogły; y gdy już zakończemy to nasze dzieło, ukryjemy go tym czasem na którym miejscu poty, poki do zażyłcia go sposobnego nie znajdziemy czasu. Tym czasem wykonamy projekt, którym wam podałem, do pozbycia się owego olbrzyma służący: jeżeli się nam uda, możemy bezpiecznie czekać tu spokojnie, ażby przechodził który okręt, któryby nas wziąć mógł z tej fatalney wyspy, jeżeli zaś przeciwnie ujdzie naszej ręki, uciekniemy czymprędzey na nasze drzewa, y puścimy się na morze. Przyznaię, że spuszczaiąc się na dyfkretyę morskich bałwanow, na tak lichym statku, podaiemy w niebezpieczeństwo nasze życie, lecz chociażbyśmy też poginęli, nie jestże słodsza bydlę pogrzebionemi w morzu, aniżeli w wnętrznościach bezecney poczwary, która już dwóch naszych pożarła kollegow. Rada moja podobiała się wszystkim, y pozbiłiśmy tratwy, mogące na sobie unieść po trzy osoby.

Powróciliśmy się przy końcu dnia do Pałacu, wkrótce potym y olbrzym za nami przyszedł. Potrzeba jeszcze było śakryfikować iednego z naszych kollegow na pieczenie dla poczwary; lecz przecież zemściłiśmy się za tak wielkie okrucieństwo. Ledwie co skończył swą przeklętą wicherzę, położył się na znak y zasnął. Jak tylko-

śmy

śmy
ważn
żnie,
stkie

wyda
swe c
lecz
y do
by na
wży
wży

zad

W
gu
Zpu
pok
wid
rym
śmy
dzie
ryk
śad
tey
rac

śmy go chrapającego usłyszeli, dziewięciu nayodważnieyszych z nas, y ia, wzięliśmy po jednym różnic, y rozpaliwszy ich końce, utopiliśmy ie wżysłtkie wiego oku, a tak oślepiłszy go.

Olbrzym dla bolu wielkiego począł okrutne wydawać ięki. Witał zgniewem, y wyciągnął swe długie ręce, chcąc niemi znas ktorego złapać; lecz my mieliśmy czas do oddalenia się od niego, y do upadania na ziemię w konćikach, w których by nas nogami namacać nie potrafił. Naszukawszy się nas nadaremnie, znalazł omackiem drzwi, wyszedł okrutnie rycząc.

Na tym miejscu, tey nocy stanęła *Szechera-zada*, nazajutrz tak też kontynuowała historiją.

LXXVI. NOC.

Wyszliśmy z Pałacu za olbrzymem, kontynuował daley *Syndbad*, y przysliśmy do brzegu morskiego, na którym były nasze tratwy. Zpuściliśmy ie na wodę, y czekaliśmy ażeby się pokazał dzień dla uciekania na nich, ieżeli byśmy widzieli olbrzyma zbliżającego się ku nam, z którym swojego rodzaju powodyrem; Podchlebiliśmy sobie, że ieżeli by się nie pokazał, po wschodzie słońca, y ieżeli byśmy nie słyszeli więcey iego ryków, ktore ustawicznie obiały się o nasze uszy, śądzić mieliśmy, iż go już nie było na świecie, w tey okoliczności proponowaliśmy sobie zoltawać raczey na tey wyśpie, a niżeli się puszczać na trawach

twach na moriskie fale. Lecz iak tylko pokazał się dzień, użyżeliśmy okrutnego naszego nieprzyjaciela, w kompanii dwóch olbrzymow trochę od siebie niższych, którzy go prowadzili, y wielu innych którzy przednim prędko biegli.

Na te widowisko, czym prędzey powstaliśmy na tratwy, y poczęliśmy się odpychać wiosłami. Olbrzymi to postrzegłszy, porwali każdy z nich wielki kamień, przybiegli do brzegu, y wszedłszy nawet w wodę wpoł ciała, tak dobrze owemi kamieniami rzucili, że wszystkie inne tratwy oprócz moicy porozrywały się, y ludzie na nich będący potonęli.

Co do mnie y dwóch moich kolegów, ponieważ mocno robiliśmy wiosłami, oddaliliśmy się tak daleko na morze, że nas kamieniami dosięgnąć nie mogli.

Jak tylko wypłynęliśmy na morze, fale poczęły nami rzucać w tę y ową stronę, y przepędziliśmy całą noc następującą w okrutney niepewności naszego losu, lecz na zaiutrz dostało się nam szczęście przybicia do iedney wyspy, na którą wysiedliśmy z wielką radością. Znaleźliśmy tam arcy wyborne owoce, które nam nie-mało przywróciły sił utraconych.

Nad wieczorem zasnęliśmy przy brzegu morskim; lecz szelest z którym się sunął wąż długi, iak największe palmowe drzewo przebudził nas. Wkrotce tak się zbliżył do nas że pożarł iednego z moich kolegów mimo ięków y paś-

wania się w wydzieraniu mu się z pyska. Kilka razy go wpaszcę wziąwszy y pośknąwszy wyciął głowę jego o ziemię, y pośknął do reszty. Uciekliśmy natychmiast ia y drugi mój kolega, y lubośmy dosyć byli zdaleka, usłyszeliśmy iednak w krotkim czasie szelest, co nam dało do zrozumienia, że wąż ow wyrzucił z siebie kości, niefortunliwego naszego kolegi, ktorego pożarł. Jakoż zobaczyliśmy to nazajutrz z niewypowiedzianym żalem y wzdryganiem się. O BOZE! zawołałem na cożśmy się odważyli; Cieszyliśmy się, dnia wczorayszego, żeśmy ufli rąk okrutnego olbrzyma, y wydarli się fałom morskim, aż o dnia dzisieyszego wpadliśmy w nie mniej straszne niebezpieczeństwo.

Znaleźliśmy przechodząc się po wyspie drzewo iedne arcy grube, y wysokie, umyśliśmy na nim noc przepędzić, dla lepszego bezpieczeństwa. Pożywiliśmy się znowu fruktami, iako dnia wczorayszego y przy końcu dnia wleźliśmy na owo drzewo. Usłyszeliśmy natychmiast węża syczącego, który przyszedł aż pod to drzewo na którym byliśmy, okręcił się około drzewa, y znalazłszy moiego kolegę który był niżey iak ia, pośknął go do razu, y odszedł.

Zostawałem na tym drzewie aż do dnia, który gdy się pokazał, zlażem podobniejszy do umarłego, aniżeli do żywego. Jakoż nie mogłem oczekiwać szczęśliwszego losu nad ten, który mieli dway moi kolledzy. Na same pomyśle-

nie o tym, wzdrygałem się y drzałem od boia-
źni; uczyniłem już był kilka kroków, chcąc wsko-
czyć w morze; lecz że miłe jest każdemu życie,
y że każdy chciałby go sobie iak naywięcey przy-
czynić, dałem odpor owemu poruszeniu we mnie
pochoźącemu z rozpaczey, y spuściłem się na wo-
łę Boską, która według swego upodobania roz-
ządza naszym życiem.

Nie omieszkalem ztym wszystkim nazbie-
rać wiele drobnych gałęzi, chruśców, y cier-
niow suchych. Zrobiłem z nich kilka wiązań,
które związałem razem, otoczywszy niemi całe
drzewo,, wlałem na nie iak do iakiey forteczki,
mając przynajmniej tę okropną pociechę, że
niczego nie zaniedbał dla uchronienia się okru-
tnego losu, któremu się obawiał. Wąż nie
omieszkiał przyiść y chodzić o koło drzewa, chcąc
mnie pożreć, lecz nie mógł tego dokazać, dla
owego wału, którym opasałem się; nadaremnie
na mnie wartował aż do dnia, iako kot na mysz
w bezpiecznym zstającym miejscu. Na ostatek
gdy dzień dobrze zaiśniał, odszedł od drzewa:
lecz ja nie śmiałem zliść z moiey fortecy poty,
poki słońce nie zeszło.

Tak złatygowałem się pracą w bronienu się
owemu węzowi, y takim w sobie nabrał zaraźli-
wego jego oddechu, że śmierć przekładał nad
moje życie; oddaliłem się od drzewa y nie pa-
miętając na to że się spuścił doskonale na wo-
łę Boską, dnia wczorajszego, pobiegłem do mo-
rza,

rza, c
Szecb
nazait
rzekla

Nay
cze, w
że gd
okrę
krzy
y roz
nim
Nie b
na ob
pitan
chał
wielk
znaye
im o
ci kto
od w
że in
ludzi
ko y
tey w
dnia
wfy

rza, chcąc się w nim utopić. Na tych słowach *Szecherazada* postrzegłszy dzień załtanowiła się, nazajutrz jednak wrociła się do swojej historyi, y rzekła do *Sultana*.

LXXVII. NOC.

Nayiaśniejszy Panie, *Syndbad* kontynuując relacyą o swojej trzeciej podróży: Bog, rzecz, wzruszony miłosierdziem nademną, sprawił, że gdym szedł rzucić się w morze, ujrzałem okręt bardzo oddalony od brzegu. Począłem krzyczeć ze wszystkich sił, ażeby mię usłyszano, y rozwinąłem płotno z moiego zawoju, ruszając nim na kiiu, ażeby mię łatwiej potrzeżono. Nie było to nadaremną rzeczą, cała kompania na okręcie znajduiąca się postrzegła mię y Kapitan okrętu przyśłał mi baćik. Gdym przyjechał do okrętu, Kupcy y Flisi pytali mię się z wielką ciekawością, przez jaką bym awanturę znajdował się na wyspie tak opuszczoney, gdym im opowiedział wszystko co mi się przytrafiło, ci którzy byli najstarsi powiadali mi, że usłyszeli od wielu że olbrzymi mieszkali na tej wyspie, y że im iako rzecz pewną powiadano że to byli ludzizerce, którzy iadali ludzi tak surowych, iako y pieczonych. Przydali także że węzów na tej wyspie było bardzo wiele, które się podczas dnia ukrywają, a w nocy pokazują. Oświadczywszy swą radość, że tak wielkich uideł niebezpie-

spiczeństw, nie wątpiąc o tym, że byłem głodny, traktowali mnie z wielką pilnością wszystkim tym, cokolwiek mieć mogli najlepszego, a Kapitan uważając że moja suknia była podarta w pasy, rozkazał mi dać z siebie suknię

Płynęliśmy przez niciaki czas pomorza, przybiliśmy do kilku wysp, a na ostatek przypłynęliśmy do wyspy *Salabat*, z kąd się wywozi największe drzewa sandałowego arcy potrzebnego do lekarstwa. Wiechaliśmy do portu y poczęliśmy w nim odpoczywać. Kupcy zaczęli wynosić z okrętu swe towary, ażeby iedne przedali, drugie wymieniali. Wtenczas Kapitan okrętu zawołał mnie y rzekł: Bracie mam tu w depozycie towary, które należały do iednego Kupca który płynął przez niciaki czas na moim okręcie. Ponieważ ten Kupiec umarł, robiłem niemi, ażebym mógł dać rachunek jego krewnym, jeżeli którego znajdzie. Paki o których mówił leżały już na sztabie. Pokazał mi je mówiąc o toż to te towary o których mówiłem. Spodziewam się, że się podejmiesz handlować niemi pod kondycją odebrania należytey zato nadgrody. Zezwoliłem nato chętnie, y podziękowałem, że mi nie dawał zoltawać w próżnowaniu.

Pisarz okrętowy w pisywał w rejestra wszystkie paki, z imionami Kupców do których należały. Gdy się pytał Kapitana, pod którymby rozkazał imieniem wpisać te paki, które mi oddawał na zarobek, wpisał je, odpowiedział mu Kapitan,

pitam,
tylko
fobie
dobrze
który
moje
iedne
dla to
widz

ba si
umar
Kupi
Syn
tym
sta,
iedn
bran
się z
kaza
drug
tego
Wia
była
mie.
wąt
pita
dob
goś
łem

pitan, pod imieniem *Syndbada Morskiego*. Jak tylko usłyszałem moje imię, wielkie uczułem w sobie poruszenie radości, y przypatrzwszy się dobrze Kapitanowi, poznałem że to był ten sam, który mię zostawił na wyspie podczas drugiey moiey podróży, na ktorey zasnąłem na brzegu iedney rzeczki. Nie mogłem go z początku poznać dla tego że się dla długości czasu od którego nie widziałem go, na twarzy odmienił.

Ze zaś on nie mógł mię poznać, nie potrzeba się dziwować, ponieważ rozumiał, że m już umarł. Kapitanie, rzekłem do niego, zapewneż Kupiec ten do którego należą te paki nazywał się *Syndbadem Morskim*; tak iest, odpowiedział mi, tym się nazywał imieniem; z *Bagdadu* był Miasta, y wsiadł na moy okręt w *Balzorze*. Dnia iednego gdyśmy wysiedli na iedną wyspę, dla nabrania wody, y dla posilenia się owocami, które się znajdowały na niej, przez zapomnienie rozkazałem rozwinąć żagle, nie uważając, że go z drugiemu nie było na okręcie. Nie postrzegłem tego, ani ja, ani Kupcy, aż we 4. godziny porym. Wiatr mieliśmy z tyłu y tak sprzyjający, że rzecz była niepodobna powracać się po niego. Rozumieszże, rzekłem do niego, że on już umarł? bez wątpienia, odpowiedział mi. Otworz oczy Kapitanie, rzekłem do niego, y przypatrz mi się dobrze, uznasz że ja iestem ten *Syndbad*, którego ty zostawił na wyspie opuszczoney. Zasnąłem przy brzegu rzeki, y przebudziwszy się żadne-

dnegom nie zobaczył z moich kollegow. Na te słowa Kapitan poczęł mi się przypatrywać.

Szecherazada w tym mieyleu poitrzegłszy dzień, przeitała mowić, nazaiutrz kontynuowała swą relacyą w ten spoiob.

LXXVIII. NOC.

Kapitan, mowił daley do kompanii *Syndbad*, przypatrzywszy mi się dobrze, przecięż mię poznał, niechże będzie BOG pochwalony zawołał obąpiając mię! że cię zachował przy życiu, ciebie się mocno, że szczęście samo poprawiło niejakim sposobem mój błąd. Otoż są twoie towary, o których miałem zawsze wielkie staranie, y ktoremi we wszystkich portach usiłowałem handlować znaywiękzym, iaki tylko bydź może, twoim pożytkiem; oddaję ci je z zarobkowemi z nich pieniędzmi. Wziąłem owe paki oświadczając za to przyzwoitą Kapitanowi wdzięczność.

Zwyspy *Salabat* popłynęliśmy do drugiey, na ktorey nabrałem gwoździów, cynamonu, y innych do przyprawy potraw służących korzeniow. Gdyśmy się od niey oddalali, widzieliśmy żółwia na 20. łokci długiego, y teyże samey szerokości: widzieliśmy także rybę podobną do krowy, mającą mleko, y skórę tak twardą, że znieny ordynaryinie robią puklerze. Widziałem inną znowu rybę, y figurę y kolor wielbłąda mającą. Na ostatek po długiey żegludze, przyjechałem do

Bal-

Balzory, a z tamtąd powróciłem się do *Bagdadu*, tak wiele mając bogactw, że mi ich sam zachować nie mogłem. Rozdałem znowu znaczną sumę na jałmużny, y przykupiłem wiele gruntów do tych, którem był pierwej nabył.

Tym sposobem *Syndbad* zakończył relacyę o trzeciej swojej podróży: rozkazał potym dać sto cekinów *Hindbadowi*, zapraszając go nazajutrz na słuchanie relacyi o czwartej podróży. *Hindbad* y inni goście rozeszli się; a gdy nazajutrz pochodził się, *Syndbad* przy końcu obiadu zaczął opowiadać swoje awantury.

CZWARTA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Roskoszy, rzekł, y rozrywki których zażywałem po trzeciej moiej podróży, nie miały tyle mocy, ażeby we mnie żeglowania po morzu ugasiły pragnienie. Dałem jeszcze raz zwyciężyć się pałły, która się we mnie znaydowała do handlu y do widzenia co raz nowych rzeczy; ustatywiwszy więc moje interessa, y zostawiwszy Kupcyków, którzyby przedawali moje towary, wyjechałem. Udałem się ku Persyi, obiechałem wiele iey Prowincyi, przyjechałem do portu morskigo, przy którym wsiadłem na okręt. Puściliśmy

liśmy się na morze, y pominęliśmy już wiele portow należących do niektórych wysp oryentalnych, gdy z nagle powstał wiatr wielki, który był przyczyną, że Kapitan okrętu rozkazał zwinąć żagle, y wszystko to uczynić, cokolwiek widział do oddalenia wiszącego nad nami niebezpieczeństwa być potrzebnego; lecz wszystkie nasze zabiegi były niepożyteczne; żagle podarły się na kawałki, a okręt nie mogąc już więcej być rządzony y kierowany, uderzyło skałę y rozbił się ztak wielkim impetem, że wielka liczba Kupców y Flisow utonęła, y wszystkie zginęły towary.

Szecherazada w tym mieyscu historyi była, gdy się dzień pokazał. Zatrzymała się, a *Szachryyar* wstawać począł. W następującej nocy tak kontynuowała czwartą podróż.

LXXIX. NOC.

Szczęściem przecię mówił *Syndbad* razem z innemi Kupcami, y Flisami uchwyciłem się deszczki, zaniósła nas wszystkich woda do będącej przed nami wyspy. Znaleźliśmy niektóre frukta, y zdroiową wodę którąśmy się znacznie pokrzepili. Odpoczywaliśmy tam przez noc całą, niewiedząc jeszcze cośmy mieli czynić; nieszczęśliwość w ktorej zstawaliśmy, uczyniła nas do wzięcia przyzwolitych rezolucyi nieposobnemi.

Na zaiutrz iak tylko słońce zeszło, oddaliliśmy się od brzegu, y poczęliśmy chodzić po wyspie,

spie. Postrzegliśmy budynki y zbliżyliśmy się do owych budynków, przybiegło do nas wielu murzynów: otoczyli nas w koło, zabrali nas wszystkich, podzielili się nami y zaprowadzili nas do swoich domów.

Pięciu moich kolegów, y ja dostaliśmy się na jedno mieysce. Zaraz proszono nas siedzieć, y dano nam iakieś ziołka, zachęcając nas znakami, ażebyśmy ie iedli. Kolledzy moi, nie uważając, że ci ktorzy nas na nie protili sami ich nie iedli, dogadzaiąc swemu głodowi rzucili się z wielką chęćwością na tę potrawę. Co do mnie poczuwając w tym iakąś zdradę, nie chciałem iej nawet pokosztować, co mi też na dobre wyszło: w krotce albowiem postrzegłem, że kolledzy moi dostali waryacyi, y że mówiąc do mnie nie wiedzieli co mówili.

Dano nam po tym ryż gotowany przyprawy oliwą kokusową, kolledzy moi utraciwszy już rozum, iedli go z wielkim apetytem. Ja iadłem go także, lecz bardzo mało. Murzyni dali nam z początku owych ziołek dla przyśmienia naszego rozumu, y dla zagrodzenia smutkowi y zgryzocie, którąbyśmy mieć mogli reflektując się nad nieszczęśliwym naszym losem; ryż zaś nam dawali, ażeby nas utuczyli. Ponieważ byli ludźmi żercy, intencya ich była pożreć nas, iak tylko byśmy byli utuczeni, co uczynili z moimi kolegami niemogącemi przewidzieć przyszłej swojej zguby; ponieważ nie byli przy rozumie. Ja

żem przecię został się przy życiu miarkować mo-
żećie, że mi to do tego wielką było pomocą, iż
zamiast utuczenia się wychudłem bardziey. Bo-
iażni śmierci, którą się ustawicznie trapiłem obra-
cała w truciznę wszystkie moje pokarmy. Wpa-
dłem w chorobę, która mi się stała arcy pożyte-
czną; Murzyni albowiem pozabiiawszy, y po-
żarliży moich kolegów, widząc mię wyschłego,
nie mającego nic na sobie mięśia, y chorego, śmierć
moję na inny czas odłożyli.

Dawano mi wielką wolność, y żadney na
sprawy moie nie miano bacznosci. To dało mi
okazyą, ażebym się oddalił od budynków owych
murzynów, y wydarł się z niewoli. Starzec kto-
ry mię postrzegł, pomiarkowawszy mój zamiśl,
począł krzyczeć na mnie na cały głos, ażebym
się powrocił; lecz ja bardziey ieszcze począłem
uciekać, tak dalece, żeingo zoczów zgubił. Sam
tylko ow starzec był przy domostwach, wszyscy
inni murzyni wyszli byli, y aż w wieczor dopie-
ro powrócić się mieli; co często zwykli byli czy-
nić: przeto pewnym będąc, że już nie rychło
im będzie zanną gonić, iak by się dowiedzieli o
moiey ucieczce, szedłem aż do nocy, podczas kto-
rego to czasu odpocząłem sobie co kolwiek, y
poiliłem się żywnościami, których sobie na dro-
gę przyspobiłem; lecz udałem się w krotce w
drogę, y szedłem przez siedm dni, unikając za-
wsze tych miejsc, które mi się zdawały bydź od
ludzi mieszkanie. Dziewka kokusowe utrzymy-
wały

wały m
pokarm

Oli
rza y po
łych, zbie
dzo wiel
dobrej m
dne y boi

Sz
chciała;
dyskursu

Ludzie
kon
postrzeg
był y zka
ich uszły
łem chę
wszy im
kim spo
rey wpa
ci, rzeka
leś ich
cyą, iak
wiła po

Ba
rali tyle
z sobą n

wały mię przy życiu, owoce albowiem ich, y za pokarm y za napoy mi służyły.

Olinego dnia przyśzedłem w bliskość morza y postrzegłem zaraz ludzi, tak iako y ia białych, zbierających pieprz, ktorego tam było bardzo wiele. Zabawa ta ich, dała mi okazyą do dobrej nadziei, y zbliżyłem się do nich bez żadney boiaźni.

Szecherazada tey nocy mowić więcej nie chciała; lecz nazaiutrz wrociła się do swojego dyskursu.

LXXX. NOC.

Ludzie owi zbierający pieprz mowił *Syndbad*, kontynuując swoją historią iak tylko mię postrzegli, spytali się mię, po Arabsku, kto bym był y z kąd bym szedł. Ukontentowawszy się żem ich usłyszał mówiących moim językiem, uczyniłem chętnie zadość ich ciekawości; opowiedziawszy im iakim sposobem rozbił mi się okręt, y iakim sposobem dostałem się na tę wyspę, na ktorej wpadłem w ręce murzynow; lecz murzyni ci, rzeką mi, iedzą ludzi, iakim że cudem uniknąłeś ich okrucieństwa? Uczyniłem im taką relacyą, iaką wam uczyniłem, ktora im wielkie sprawiła podziwienie.

Bawiłem się z niemi poty, poki nie nazbierali tyle pieprzu, ile chcieli; po tym wzięli mię z sobą na baćik którym byli przyiechali, y zaie-

chaliśmy do wyspy, z ktorey oni byli. Prezentowali mię swoiemu Krolowi, bardzo dobremu Monarsze, tyle miał cierpliwości że wysłuchał całej moiey awantury, ktora go wielce zadziwiła. Rozkazał mi dać potym suknie, y zalecił ażeby o mnie miano staranie.

Wyspa na ktorey znajdowałem się była arcy ludna, y obfitująca we wszystkie rzeczy; Miałto to ktore było rezydencyą Krolewską, wielki prowadziło handel. Miła ta ucieczka poczęła mię cieszyć w moim nieszczęściu, a dobroczynność tego wspańałego Monarchy, doskonale mię rozweseliła. Jakoż nikt w większym u niego nademnie nie był respekcie, a zatym nie było nikogo ani w Mieście, ani u Jego Dworu, ktory by się o moię nie starał przyjaźń; w krotce więc miano mię raczey za obywatela owey wyspy, a niżeli za cudzoziemca.

Jedna rzecz zdała mi się extra ordynaryną; to iest że wszyscy, y Krol nawet sam, iezdzili na koniu bez musztuka y bez kulbaki. Ośmieliłem się spytać Krola, dla czego by nie zażywał tak wygodnych rzeczy? odpowiedział mi, że mowił z nim o rzeczach w Jego Kraiu prawie nieznanych.

Natychmiast poszedłem do iednego Rzemieślnika, dałem mu desien kulbaki, według ktorego mi ją zrobił, gdy mi zrobił siodło, wysłałem go sam sześciz, y obczył skórą, tudzież przyozdobiłem go złotym haftem. Poszedłem potym

tym do
miona

ka, dan
go prz
usiadł
cya, że
oświa
kanaś
szych
czyli
w kro
że po
Obyw
to m

wkie
Mon
brze
imp
cię
ażeb
pow
ucz
nale
szny
Cho
go,
mał
fey

tym do Slusarza, y rozkazałem mu zrobić firzemia na według formy którą mu podałem.

Gdy już ze wszystkim gotowa była kulbaka, darowałem ją Krolowi, włożyłem ją na iednego przyprowadzonego konia. Monarcha ten gdy usiadł na niey, tak mu się podobała moja inwencya, że darowaniem mi arcy bogatych prezentow oświadczył swoją radość. Musiałem zrobić kilkanaście kulbak dla Jego Ministrow, y dla zacniejszych Jego Dworzan, ktorzy to wszyscy, zawdzięczyli mi tę moją przyługę prezentami, które mię w krotkim czasie zbogaćily. Podarowałem także po iedney kulbace zacniejszym Miałta tego Obywatelom; co mi wielką u wszystkich ziednało miłość y powszechną estymacyą.

Ponieważ regularnie chodziłem na Krolewskie pokoie, dnia iednego, rzekł do mnie ten Monarcha: *Syndbadzie* kocham cię, y wiem dobrze, że wszyscy moi poddani ktorzy cię znają, moim przykładem wielki ku tobie mają affekt. Mam cię o iedną rzecz prosić, którą chcę koniecznie, ażebyś mi uczynił. Najjaśniejszy Panie, odpowiedziałem, nie niemasz takiego, czego bym uczynić nie był gotow, dla pokazania iak doskonale jestem Waszey Krolewskiej Mości posłuszny; możesz wszystko u mnie miłościwy Panie. Chcę cię ożenić, odpowiedział Krol; a to dla tego, ażebyś cię przez to postanowienie, utrzymał w moim Państwie, y żebyś zapomniał o twóscy Ojczyźnie. Gdym się nieśmiał oprzeć Je-

go dobroczynney woli, dał mi za Zonę Dameę od swiego Dworu Szlachetną, urodziwą, mądrą, y bogatą. Po skończonych ceremoniach weselnych, przaniołem się do Domu moiey Zony, z którą przez nieiaki czas żyłem w doskonałej zgodzie. Nie byłem iednak bardzo kontent z moiego stanu, intencya moja była wymknąć się za naypierwszą okazją, y powrócić do *Bagdadu* moiey Oyczyzny, ktorey postanowienie moje, iakozkolwiek było pożyteczne, żadnym sposobem nie mogło mi wygluzować z pamięci.

Wtych byłem myślach, gdy Zona iednego z moich sąsiadow, z którym ściśłą zabrałem był przyjaźń, zachorowawszy umarła. Poszedłem do niego dla dania mu iakiego pocieszenia, y widząc go w wielkim żalu, przystąpiwszy do niego rzekłem: niech ciębie przynajmniey BOG konferwuje, y da ci długie życie. Ah! iakimże sposobem, odpowiedział mi, mógł bym otrzymać od BOGA tę łaskę, ktorey mi życzysz? iednę tylko mam już godzinę żyć na świecie. Ah! nie przypuszczay sobie, zawołałem na niego, tak niegodziwey myśli. Spodziewam się, że to nie nastąpi, y że będę miał jeszcze cieszenia się z tobą przez długi czas ukontentowanie. Życzę ci, odpowie mi płacząc, ażebyś żył iak naydłużey; co do mnie, już się stało; wiedz o tym, że mię dnia dzisieyszego pochowaią w grobie razem z moją Zoną. Ten zwyczaj zachowali zdawna nasi przodkowie, y my go nienaruszenie zachowujemy;

my; Mąż żyjący idzie do grobu z Zoną umarłą, y Zona żywa idzie do grobu z Mężem umarłym. Nikt mię od tego uwolnić nie może, wszyscy ludzie podlegają temu prawu.

Gdy ze mną mówił o tym tak dzikim y grubiańskim zwyczaju, ktorego wiadomość okrutnie mię zatrwżyła, krewni y przyjaciele pochodzili się dla pogrzebowey asyſtencyi. Ubrano trupa Zony w naybogatsze szaty, iakoby w dzień wesela, y włożono na nią wszystkie szacowne iey kleynoty. Włożono ją potym w odkrytą trumnę, y zaczęto iść processją. Mąż szedł naypierwszy przy pogrzebowey asyſtencyi za ciałem swoiey Zony. Szli ku wielkiej iedney gorze, do ktorey gdy przyſzli, podnieśli wielki kamień zamykający okno głębokiey iamy, spuszczo do owey iamy trupa, nie zdeymuiąc z niego szat y kleynotow. Gdy się to stało Mąż uściśkał swych krewnych, y przyjaciół, y bynajmniey nieopierając się, położył się w trumnie prożney, wziąłszy sobie tylko dzbanek wody y siedm butek chleba. Spuszczono go tak iako y Zonę do owey iamy; gora ta ciągnęła się wzdłuż tego kraju y graniczyła morze, iama zaś była bardzo głęboka. Po skończoney ceremonii nakryto znowu kamieniem okno.

Nie potrzebuję wam, moi Panowie, opowiadać, żem z niewypowiedzianym na ten pogrzeb zapatrywał się smutkiem. Wszystkich innych znajdujących się przytym bynajmniey to nie

obeszło; ponieważ przyzwyczaili się byli do tego okropnego widowiska. Ośmieliłem się dnia jednego otworzyć moje zdanie Krolowi względem tego grubiańskiego zwyczaju. Nayiasniejszy Panie, rzekłem, nie mogę się nad tym wydziwić że w Państwie Wafzey Krolewskiej Mości, tak okrutny zakopywania żywych z umarłemi panuje zwyczaj. Przeszedłem już wiele świata, byłem w wielu Narodach, a nie slysziałem nigdy o tak okrutnym prawie. Coż chcesz czynić *Syndbaldzie*, odpowie mi Krol, prawo to jest nam wszystkim powszechne: pochowanoby mię żyjącego z Krolową moją Zoną, gdyby mi broń BOZE umarła: lecz Nayiasniejszy Panie, rzekłem do niego powtornie, chciałbym się Wafzey Krolewskiej Mości spytać, iezeliby cudzoziemcy obligowani byli zachować to prawo? bez wątpienia, odpowiedział mi Krol uśmiechając się, poznawszy pytania mego przyczynę: nie są od tego prawa uwolnieni iezeli się w tej wyspie ożenili.

Z tą odpowiedzią powrociłem się smutny do Domu. Boiażn ażeby moja Zona pierwsza nie umarła, y żeby mię z nią żywego nie zakopano, okropne wemnie wzbudzała reflexye. Lecz coż miałem czynić? Potrzeba było cierpliwie ten cięż fortuny znosić, y spuścić się doskonale na wolę Boską. Z tym wszystkim na naymnieyszą słabość y niedyspozycyą moiey Zony, drzałem z boiażni, lecz niestetyż, boiażn ta moja w krotce na naywyższym stęgła stopniu: zachorowała na Zonę śmiertelnie, y w kilka dni umarła.

Te

Te wymowiwszy słowa *Szecherazada* zakończyła swoy dyskurs, nazajutrz tak go konynuowała.

LXXXI. NOC.

Sądzić możecie mowił *Syndbad* do kompanii, jak wielka w sercu moim wznieciła się boleść? nie mniey mi się okrutną zdawało rzeczą byź żywo zakopany, niżeli pożartym od ludziżer-cow. Potrzeba mi iednak było rezolwować się na to. Krol otoczony całym swoim Dworem obecnością swoją pogrzeb ow przyozdobił, y osoby naygodniejszy czyniąc mi honor asystowały mi do moiego pogrzebu.

Gdy wszystkie rzeczy do pogrzebu należące były przygotowane, ciało Zony moiey ubrane w bogate szaty y kleynoty, włożono w trumnę; zaczęto wychodzić. Ja iako drugi aktor tej okropney tragedyi, szedłem przy samey trumnie moiey Zony, rzewne łzy wylewając, y opłakując moy los nieszczęśliwy. Nimeśmy przyszli do gory, chciałem nakłonić do miłosierdzia wszystkich przy pogrzebie przytomnych ludzi. Obrociłem się nayspierwey do Krola, a potym do wszystkich, którzy byli około mnie, y ukloniwszy się przed nimi nisko, aż ku ziemi, upraszałem pokornie, ażeby na demną mieli politowanie. Zważcie, mowiłem do nich, że jestem cudzoziemiec, a przeto, nie powinienem podlegać tak surowemu

prawu, y że mam inszą jeszcze Zonę * y Dzieci w moiej Oyczyźnie. Na daremnie starałem się wynawiać zwielkim żalem te słowa, nikogo nie poruszyłem do miłosierdzia, przeciwnie starano się iak nayprędzey spuścić ciało moiej Zony w iamę, y w moment potym włożywszy mię w inną trumnę otwartą z dzbanem wody, y z siedmią bułkami chleba, spuszczoneo mię za nią; gdy tę tak okropną dla mnie ceremonią zakończono, przykryto okno iamy wielkim kamieniem, mimo moiej boleści y żałosnych iękow.

Im bardziey zbliżałem się do dna tym bardziey mając cokolwiek jeszcze światła zgory, poznawałem naturę tego podziemnego mieysca. Jest to ialkinia szeroka, na pięćdziesiąt przynajmniej łokci głęboka. Uczułem natychmiast wielki fetor ktory wychodził z wielkiej mnogości trupow, ktore y po prawey y po lewey leżały stronie; zdawało mi się, że nawet Rylzał, iż niektorzy niedawno żywo tam spuszczeni ostatnie wydawali ięki, y wzdychania. Z tym wszystkim iak tylko stanałem na dnie, wyskoczyłem prędko z trumny, y oddaliłem się zdaleka od trupow zatkawszy sobie nos. Rzućłem się na ziemię, y leżałem długo lzy wylewając. Wtenczas czyniąc reflexyę nad moim nieszczęśliwym losem, prawda iest, mowiłem tam do siebie, że BOG rozrządza nami według wyrokow swoiej Opatrzności;

* *Syndbad* był Mahometan, a Mahometanom iest pozwolona wielość Zon.

ści;
fam
nicz
nafi
goś
tera
okru
two
pow
nie

żale
w g
okru
zam
śliw
mni
żyć
mac
dąca

była
noc
mi f
fobi
ka o
gdy
na s

mov
wro

ści; lecz przecie nieszczęśliwy *Syndbadzie*, nie sam żeś temu winien, że umierasz tak śmiercią niezwyczajną; O dałby był BOG, żebyś był zginął podczas którego rozbicia na morzu, z któregoś tyle razy wyrwał się! nie umierał byś był teraz, śmiercią tak powolną, y ze wszelkich miar okrutną! załżyłeś sobie na nią, przez przekłete twoie łakomstwo. Ah! nędzny człowiecze, nie powinienżeś był zostawać już w Domu, y spokojnie zażywać słodkich owoców twojej pracy?

Takie były niepożyteczne moje lamenta y żale, kotoremi napełniałem całą iaskinię, bijąc się w głowę, y wbrzuch z rozpacz, y trapiąc się okrutnemi myślami. Jednakże prawdę mówiąc, zamiast życzenia sobie śmierci, w tym nieszczęśliwym stanie, miłość życia odezwała się we mnie, y była przyczyną, żem się starał przedłużyć cokolwiek dni wieku mego; poszedłem o macki, zatkawszy sobie nos, po chleb y wodę będącą w mojej trumnie, y posiłem się cokolwiek.

Lubo ciemność panująca w tej iaskini tak była gruba, że niemożna było rozeznąć dnia od nocy, znalazłem iednak moję trumnę; y zdało mi się, że iaskinia ta była więkzja y więcey miała w sobie trupow, aniżeli pierwey. Żyłem przez kilka dni moim chlebem y wodą; lecz na ostatek, gdy mi tych żywności nie stało, gotowałem się na śmierć.

Szeherazada na tym miejscu przestała mówić. Wnastępującej zaś nocy tak do swoiey wrocila się relacyi.

LXXXII. NOC.

Oczekiwałem już śmierci, kontynuował *Synd-
bad*, gdym usłyszał że odeymowano kamień. Spuszczono trupa y osobę żyjącą, umarły ow był mężczyzna. Naturalna jest rzecz chwycić się ostatniej rezolucyi w ostatnich niebezpieczeństwach; wtenczas gdy spuszczano kobietę zbliżyłem się ku temu myślcu, na którym miała stać się iey trumna, y postrzegłszy że przykrywano już okno iaskini, uderzyłem nędną tę białogłowę dwa lub trzy razy wielką, którą znalazłem, kością. Ogłuszyłem ją, albo raczey zabiłem, a że ten nieludzki uczynek iedynie dla tego popełniłem ażebym dostał chleba y wody znajdujący się w trumnie, miałem na kilka dni żywności. Gdy mi już nie stawało tego posiłku, spuszczono znów żonę umarłą, y człowieka żyjącego, zabiłem go tymże sposobem; a że na moje szczęście choroba iakaś podobna do powietrza panowała w Mieście nie zbywało mi na żywnościach, ponieważ odbierałem zawsze życie tym których spuszczano żywych, y zabierałem chleb y wodę.

Dnia iednego gdym zabiwłszy iedną żonę powracał od okna iamy, usłyszałem rzecz iaką chodzącą. Szedłem natychmiast w stronę z ktorey ten wychodził szeleśt, y słyszałem, że na moje zbliżenie się bardziey ieszcze dmuchała, y zdawała mi się nawet przedemną uciekać. Szedłem za nią, iako za iakim cieniem, zdawała mi się

się nieco odpoczywać y dmuchała ustawicznie uciekając; iak tylkom się do niey zbliżał, gnałemi za nią tak długo y tak daleko, że na ostatek zpostrzegł światło podobne do gwiazd. Po tym świetle kontynuowałem moję podróż, gubiąc go często z oczow dla przeszkod które mi go zasłaniały; lecz zawszem go odzykiwał, a na ostatek poznałem, że światło to było konieczne oświecające iaskinią przez rozpadłość skały która to tak była szeroka że można było nią wycisnąć się.

Po tym tak szczęśliwym wynalazku, zatrzymałem się przez nieaki czas dla wypoczynienia sobie, ponieważ idąc prędko dla powziętej ocalenia życia nadziei, bardzom się był zmordował; po tym zbliżywszy się do tej dziury wylazłem przez nią y użyżrzałem się na brzegu morskim. Możecie łami dorozumieć się, iak wielka była moja ztąd radość; przyznaię się wam, że się tak niezmiernie ukontentowałem, iż począłem powątpiwać, ieżeliby to nie było iakim przywidzeniem się. Gdym doskonale był na umyśle przekonany, że to com widział było prawdziwą rzeczą, gdym zupełnie przyszedł do zmyłow, dorozumiałem się że rzecz ta dmuchająca, za którą gnałem, nie innego nie była, tylko iakie morskie zwierzątko przyzwyczajone wchodzić do iaskiń, dla napalienia się trupami.

Przypatrzyłem się gorze, y poznałem że położona była między Miałtem y morzem, że nie miała żadney na sobie drogi, ponieważ tak była przy-

przykra, że natura sama czyniła ją nieprzystępną. Padłem na twarz przy brzegu morskim, dziękując BOGU za uczynione mi dobrodziejstwo. Powrociłem się potym do iaskini po chleb który wyniosłszy sobie na brzeg, jadłem przy świetle słońca z takim apetytem, iakiego nigdy nie miałem mieszkając w ciemnościach. Powrociłem się powtórnie do iaskini, dla zabrania o macki dyamentow, rubinow, pereł, brasseletek złotych znaydujących się w trumnach, cokolwiek namacalem ręką, czyli złoto, czyli srebro, czyli bogatą iaką materią wyniosłem na brzeg morski. Związałem z tych wśzystkich rzeczy kilka pak, okrzepowawszy je należyćie powrozami, na których spuszczano trumny, y których to w iaskini niezmierna była mnogosc. Zostawiłem te paki na brzegu, czekając dobrej okazyi; nie bojąc się bynajmniey, ażeby im deszcz nie zaszkodził ponieważ w tej części Roku, niepotrzeba było obawiać się deszczu.

Przy końcu dwoch, albo trzech dni, postrzegłem okręt, który dopiero prawie odbiiał od portu, y miał płynąć blisko tego miejsca, na którym zostawałem, zrobiłem chorągiewkę z płotna moiego zawoju, y żeby mię usłyszano ze wśzystkich sił krzyzcć poczyłem. Usłyszano mię przećie, y posłano po mnie baćik. Gdy Eli-fi pytali mię się coby mię za nieszczęście zapędziło na te miejsce, odpowiedziałem że po rozbiciu okrętu, przed dwoma dniami, salwowałem się

się
ście
ryn
pow
ia o
do c

uko
zaba
kaw
pow
row
chci

dzy
dni i
dyb,
rey
ołow

ty, k
Cloc
straw
grub
prze
wiele
śmy
tem f
dzian
opisy

się na ten brzeg z towarami które widzieli. Szcze-
ściem przecie, ludzie ci nie roztrząsając na kto-
rym zostawałem mieyscu, y jeżeliby to com im
powiadał było prawdą, ukontentowali się tą mo-
ją odpowiedzią, y zawieźli mię z pakami moimi
do okrętu.

Jak tylko przyiechaliśmy do okrętu, Kapitan
ukontentowany, że mi ginącemu dał ratunek, y
zabawny rządzeniem okrętu, uspokoił swoje cie-
kawość w wypytywaniu się mię, iak tylko mu
powiedział, o mniemanym rozbięciu okrętu. Ofia-
rowałem mu niektóre drogie kamienie, lecz nie-
chciał ich przyjąć.

Przejeżdżaliśmy około wielu wysp, y mię-
dzy innemi około *Cloches* oddaloney o dziesięć
dni iazdy przy dobrym wietrze od wyspy *Seren-
dyb*, a o sześć dni iazdy od wyspy *Kela* do kto-
rey przybiliśmy. Znayduie się na tej wyspie
ośw, cynamon Indyjski, y przednia kantara.

Krol wyspy *Kela*, iest arcy potężny y boga-
ty, ktorego Panowanie rozciąga się, aż do wyspy
Cloches, na ktorey obiechanie, trzeba dwa dni
strawić, y ktorey to mieszkańcy tak są jeszcze
grubianscy, że się ludzkim karmią ciąsem. Na-
przedawawszy na tej wyspie y nakupowawszy
wiele towarow, popłynęliśmy daley, y przybili-
śmy do wielu innych portow. Na koniec dosta-
łem się szczęśliwie do *Bagdadu*, z niewypowie-
dzianemi bogactwy, które wam wszczegulności
opisywać za rzecz sądzą niepożyteczną. Na
po-

podziękowanie BOGU za świadczone mi dobrodziejstwa, wielkie rozdałem jałmużny, tak na utrzymanie przy swoicy wspaniałości wielu Meczetow, iako też na zapomożenie ubogich; potym z krewneimi moiemi y zprzyjaćiołmi zacząłem zażywać rokoszy y rozrywek.

Syndbad na tym skończył relacyą czwartej swoicy podroży, która więcej aniżeli trzy przeszłe sprawiła słuchaczom podziwienia. Rozkazał na nowo dać *Hindbadowi* sto cekinow, prosiąc go y wszystkich innych gości nazajutrz do siebie, na też samą godzinę dla ułyszenia piątej jego podróży. *Hindbad* y inni goście pożegnali się z nim y rozeszli się. Nazajutrz gdy się wszyscy pochozili, usiedli do stołu, a przy końcu obiadu który nie dłużej trwał nad przeszłe, *Syndbad* zaczął opowiadać piątą swoię podróż.

PIATA PODROZ SYNDBADA MORSKIEGO.

Rokoszy y delicje nie miały ieszcze y teraz tyle w sobie wdziękow, ażeby mię długo przy sobie zatrzymać mogły, y zagubiły we mnie chęć żeglowania po morzu. Przeto pozakupowałem towary, rozkazałem je poukładać w paki; pokłaść na bryki, y pojechałem z niemi do najbliższego

szego morskiego portu; Tam niechcąc depen-
dować od żadnego Kapitana, rozkazałem sobie
robić okręt własnym kosztem. Jak tylko był
skończony naładowałem go towarami, a że do-
tyć było jeszcze na nim miejsca, przyjąłem nań
wielu Kupców z różnych Narodów, z ich towa-
rami. Puściliśmy się na morze iak tylko nam
posłużył wiatr. Po długiej żegludze przybili-
śmy nypierwey do wyspy opuszczoney, na kto-
rey znaleźliśmy iacie ptaka nazwanego *Skata*, tak
wielkie iakie było to, o którym wam powiadałem,
niało w sobie tego ptaka dziecię, mające się iuż
wykluć, gdyż się iuż dziub jego pokazywał.

Na tych słowach *Szecherazada* zamilkła,
ponieważ iuż dzień w apartamencie Sułtana za-
jaśniał, w następującej nocy zaczęła na nowo
swoię relacyą.

LXXXIII. NOC.

A *Syndbad Morski*, rzekła, kontynuując relacyą
swoiey piątey podróży: Kupcy, (mówi do
kompanii) ktorzy byli na moim okręcie stłukli
to iacie uderzywşy go kilka razy siekierą, y zro-
biwşy sobie w nim dziurę, wyciągnęli ptaka te-
go małego, nazwanego *Skata* po kawałku, y
piekli go sobie. Napominałem ich, a żeby tego
nie czynili, lecz mię nie usłuchali.

Ledwie co skończyli iść tę pieczęć, gdy
pokazały się na powietrzu dwie grube chmury,

Kapitan ktoregom naiał był do moiego okrętu, wiedząc z praktyki co to znaczyło, zawołał że to byli Oyciec y Matka tego małego ptaka nazwanego *Skala*, y przymusił nas żeśmy iako naysprzedzey powliadali na okręt, dla uniknienia niebezpieczeństwa, które on przewidywał, rozwinęliśmy żagle y z wielką pilnością uciekaliśmy.

Tym czasem przyleciały te dwa ptaki straszny wydając krzyk, który to bardziey ieszcze pomnożyły, iak tylko postrzegły rozbite iaie y że w nim nie było ich dziecka. Chcąc się zemścić odleciały w tęż stronę, z ktorey były przyleciały, y zniknęły na nieiaki czas z naszych oczow, przez który czas my pragnąc uniknąć tego niebezpieczeństwa, które się nam potym przytrafiło, nie omieszkalimy przedko płynąć.

Powróciły się, y postrzegliśmy że w szponach swoich trzymały kamień niezmierny wielkości. Gdy iuż były nad moim okrętem zatrzymały się, y zawiesiwszy się na powietrzu, wypuściły z szponow swoich wielki kamień, lecz dla doiskonałości Sternika, który umiał sztucznie odwrócić okręt upadł w wodę, która tak się rozstąpiła, żeśmy prawie dno morskie zobaczyli. Drugi ptak na nasze niebezpieczeństwo, tak dobrze w sam środek okrętu rzucił kamień, że go pokruszył na drobne kawałki. I lisi y podroźni iedni byli zabić tym kamieniem, a drudzy potonęli. Ja sam zanurzyłem się iuż był w wodzie, lecz wypłynąwszy na wierzch szczęściem, uchwyciłem się

się kawałka okrętu. Tak tedy raz jedną robiąc, drugi raz drugą ręką, zapomocą sprzyjającego mi wiatru, y unoszącego wody, przypłynąłem przecie do iedney wyspy, ktorey brzegi bardzo były przykre. Przewyciężyłem iednak wszelką trudność, y wygramoliłem się na ziemię.

Uśladłem na trawie, dla odpocznienia sobie cokolwiek, po farydze; potym wstałem, poszedłem daley na wyspę, dla poznania coby był za kray. Zdało mi się żem był w arcy rokosznym ogrodzie, widziałem wszędzie drzewa iedne obciążone żelonemi ieszcze fruktami, a drugie, dojrzałemi, znalazłem strumyki wody słodkiej, y czyste. Jadłem te owoce, y piłem wodę która dla swoiey czystości sama pić rozkazywała się.

Gdy noc nadeszła, położyłem się na morawie dość w wygodnym mieyscu lecz y godziny spać nie mogłem, y boiaźń ustawiczna, ztąd żem się sam na opuszczoney znaydował wyspie, ten krotki moy sen przerywała. A tak większą część nocy strawiłem nudząc się, y wyrzucając sobie na oczy nierostropność, żem się udał w tę podroż, a nie raczey w Domu zażywał rokoszy. Te reflexye do tego mię już były przyprowadziły, żem sobie chciał skrócić życie, lecz dzień zaiasniawszy rozpędził tę moję rozpacz iako iaką chmurę. Wstałem y nie bez wielkiej boiaźni, przechodziłem się pomiędzy drzewami.

Gdym się nieco daley na wyspę zapędził, postrzegłem starca, który mi się zdawał bardzo

inż wiekiem znurzony. Siedział przy brzegu iedney rzeczki; mniemałem z początku że to był iaki człowiek, który się tak iako y ia rozbił z okrętem. Zbliżyłem się ku niemu y przywitałem go, na co on głowy mi tylko nakłonił. Spytałem go się coby tam robił; lecz zamiast dania mi odpowiedzi, dał mi znak, ażebym go wziął na ramiona, y przeniósł na drugą stronę rzeczki, dając mi do zrozumienia, że chciał sobie narwać fruktów.

Rozumiejąc, że tego potrzebował, ażebym mu tę uczynił przyługę, wziąwszy go na siebie przeniósłem go przez rzeczkę. Zleż, rzekłem do niego wtenczas, nachyliwszy się, ażeby mu było łatwiej z stąpić na ziemię, lecz zamiast spuszczenia się na ziemię (nie mogę się wstrzymać od śmiechu ile razy sobie to przypominę). Starzec ten, który mi się zdawał byź zgrzybiały, wyskoczył szypko na mój kark, spuściwszy mi na pierś swoje nogi, które tak były zarosłe włosami, iak krowia skora, tak mi począł potym ścisnąć szyję, iż rozumiałem że mię chce udusić. Wtenczas wielka mię opanowała boiaźń w ktorej zemdlałem.

Szecherazada musiała na tych słowach swoy przerwać dykurs; lecz przy końcu następującej nocy powróciła się do niego.

LXXXIV. NOC.

Nie uważając na tę moję młodość, mowił *Synd-
bad* niewygodny starzec, siedział na moim
karku, rozkraczył był tylko trochę nogi, ażebym
łatwiey był przyszedł do siebie. Jak tylkom się
otrzymał iedną nogą niemilosciernie mię w bok
bić począł, przymuszając mię, ażebym wstał
mimo moiey woli. Gdym stanął na nogach,
rozkazał mi chodzić pod drzewami; przymuszał
mię załtanować się, ażeby mogł sobie rwać, y ieść
owoce na ktoresmy napadli; przez dzień cały
niedawał mi spoczynku; a gdym chciał w nocy
sobie spocząć, kładł się ze mną na ziemi, trzyma-
jąc się zawsze moiego karku. Każdego dnia ra-
no trzącał mię, ażeby mię przebudził; potym roz-
kazywał mi wstać y chodzić, spinając mię swoie-
mi nogami. Imaginuycie sobie Panowie moi,
jak w wielkim zostawałem żalu y boleści, żem się
tego nie mogł pozbawić ciężaru.

Dnia iednego znalazłem na drodze wiele
tykw suchych, które poopadały zdrzewa, podig-
łem iedną z nich naywiększą, y w dobrze wyczy-
szczoną, wyćisnąłem kilka gron wina, którego na
tey wyspie wielka była obfitość, gdyż na każdej
drodze pełnośmy go widzieli. Napełniwszy peł-
ną tykwę sokiem, postawiłem ją w pewnym
mieyscu, na które w kilka dni potym przyzede-
dłem, niosąc na szyi starca. Tam wziąwszy ty-
kwę, napiłem się wyborowego wina, którego dziel-

ność sprawiła, żem przynajmniej na jaki czas o śmiertelnym moim zapomniał smutku! Nabrałem sił, y w tak wesołym zostawałem humorze, żem zaczął śpiewać y podskakiwać chodząc.

Starzec poznawszy dzielność tego napoju, w moicy o sobie, zwłaszcza żem go łzey wtenczas nad zwyczaj nioł, dał mi znakiem swoim do zrozumienia, że się także napić pragnął wina: dałem mu tykwę, wziął ją w ręce, a że likwor ten arcy mu przypadł do gustu, wychylił go do ostatniej kropelki; Było zaś dosyć wina dla upoienia go, iakoż dobrze sobie podchmielił, y w krótce gdy go dzielność tego likworu rozmarzyła, począł śpiewać, iak umiał, y podskakiwać na moich ramionach. Co było mu potym przyczyną, do ciekcyi; począł coraz wolniey trzymać mię nogami, tak dalece, że poczuwszy, że mię nic nie trzymał się rzuciłem go na ziemię, na ktorej leżał iak nie żywy, wtenczas wziąwszy wielki kamień stłukłem mu na miazgę głowę.

Ukontentowałem się niezmiernie, żem się pozbył przekłętego tego dziada, y poszedłszy ku brzegowi morłkiemu, znalazłem ludzi z okrętu, ktorzy tam zarzucili kotwice dla nabrania wody y dla wzięcia iakiego posiłku. Zadziwili się bardzo zobaczywszy mnie, zwłaszcza gdym im obszernie opowiedział całą moją awanturę. Wpadłeś był, rzekli do mnie, w ręce dziada morłkiego, y pierwży ty podobno jesteś, ktorego on nie zadulił. Nie opuść nigdy tych, ktorych tylko
kiedy

kiedy dostał, chyba ich zamordowawszy, y wyspę tę sławną uczynił znaczną liczbą zabitych od siebie ludzi. Flisi y Kupcy wstępujący na tę wyspę, nie śmieją się na nią daley zapędzać, chyba w wielkiej kompanii.

Te dawszy mi informacye, zaprowadzili mię z sobą do okrętu, którego Kapitan miał łobie za ukontentowanie, przyjąć mię, iak tylko się dowiedział co mi się przytrafiło. Kazał rozpuścić żagle, y po kilkudniowej żegludze, przybliżmy do portu wielkiego iednego Miasta, którego Domoſtwa były murowane z pięknego kamienia.

Jeden z Kupcow okrętowych z którym zabrałem przyjaźń, prosił mię, ażebym z nim poszedł, zaprowadził mię do Domoſtwa wyznaczonego na schronienie się cudzoziemcom. Dał mi wielki wor; potym zarekomendowawszy mię niektórym ludziom tego Miasta, mającym także wory, y prosiwszy ich, ażeby mię z sobą brali, idąc na zbieranie kokusowego owocu; idź rzekł do mnie, trzymaj się ich, y czyn to co y oni, nie odłączając się nigdy od nich, bo byś mógł w iakie wpaść niebezpieczeństwo. Dał mi na dzień cały żywności y poszedłem z tymi ludźmi.

Przyśliśmy do wielkiego lasu mającego drzewa arcy wysokie, y proste, których pniaki tak były gładkie, że arcy było ciężko wylisć na nie ku wierzchołkowi na którym był owoc, same tylko w tym lesie były kokusowe drzewa, których to chcieliśmy rwać frukt, y napełniać niemi na-

złe wory. Wszedłszy do lasu, zobaczyliśmy wielką liczbę wielkich y małych małp, które iak tylko nas zobaczyły, natychmiast uciekać poczęły, wyskakując z niewypowiedzianą szypkością na wierzchołki drzewa.

Szeberazada chciała daley jeszcze ciągnąć swoy dykurs; lecz dzień zbliżający się, nie pozwolił iey więcey mówić. Przeto następujący nocy, tak znowu zaczęła swoy dykurs.

LXXXV. NOC.

Kupcy z ktoremi byłem (kontynuował daley *Syndbad*) nazbierali kamieni, y poczęli niemi rzucać na małpy na wierzchołkach drzew siedzące. Czyniłem toż samo ich przykładem, y postrzegłem, że małpy natychmiast z prędkością rwały owoce kokusowe y rzucały niemi na nas z gestami wyrażającemi wielki ich gniew. Zbiegaliśmy kokos a rzucaliśmy coraz kamieniami, dla rozdrażnienia małp. Sztukę tę napelnialiśmy nasze wory tym owocem, ktorego innym sposobem nie można było dostać.

Gdyśmy już mieli pełne wory, powróciliśmy do Miasta, Kupiec który mię był posłał do lasa zapłacił mi wor kokusowego owocu, który przyniosłem; kontynuuy rzekł do mnie twoje prace, y chodź co dzień do lasu, poki sobie nie zarobisz, oczym byś mógł powrócić się do Domu, podziękowałem mu za tę jego radę; iakoż, tak

wiele

wiele nazbierałem kokusu, zem znaczną przeda-
wzy go zgromadził pieniędzy sumnę.

Okręt na którym przyjechałem, był odie-
chał z Kupcami, którzy go naładowali kokuso-
wym owocem nazkupowanym: czekałem inne-
go okrętu który w krotce przybił do portu Mia-
sta, dla zakupowania tegoż owocu. Rozkazałem
zanieść na ten okręt, wżyltek mój który tylko
miałem kokos, y gdy już miał odbić od lądu,
poszedłem na pożegnanie do tego Kupca, ktore-
mu wielką miał obligacyą. Nie mógł albo-
wiem ieszcze iechać z nami dla nie zakończonych
swoich intereffow.

Odbiliśmy od lądu, y popłynęliśmy ku wy-
spie na ktorey naywięcey rośnie pieprzu. Ztamtąd
poiechaliśmy do wyspy nazwaney *Komarz*,
na ktorey rośnie naywybornieysze drzewo *Aldé-
fowe*, y ktorey mieszkańcy obowiązali się prawem,
nie pić nigdy wina, y niecierpieć w kraju swoim
żadney rozpusty. Na tych dwóch wyspach za-
mienilem frukt kokusowy za pieprz, y *Aldéfowe*
drzewo, y poiechałem zdrugimi Kupcami na
połow pereł; nająłem sobie murkow, którzy mi
ich bardzo wiele wielkich y szacownych nałowili.
Wsiadłem potym na okręt, który szczęśliwie
przybił do *Balzory*, z ktorego to portowego Mia-
sta, powrociłem do *Bagdadu* zebrawszy wielką
sumnę pieniędzy, za pieprz, y za drzewo *Aldé-
fowe*, y przywiozłszy z sobą wiele pereł. Roz-
dałem na ubogich dziełną część moiego zysku,

tak iako powrociwszy się z pierwszych moich podroży, y rozrywałem się po fatydze wszelkiego rodzaju rokoszami.

Syndbad te zakończywszy słowa, rozkazał dać *Hindbadowi* sto cekinow, który natychmiast z innemi gośćiami wyszedł. Nazajutrz też sama kompania przyszła do bogatego *Syndbada*, który według zwyczaju swego utraktowawszy ją, tak iako y w dniach przeszłych, zabrał głos y począł opowiadać szostą swoją podróż.

SZOSTA PODROŻ SYNDBADA MORSKIEGO.

Panowie moi, mówił dalej do kompanii, w podziwieniu podobno zostaiecie, iakim sposobem rozbiwszy się pięć razy na morzu, y tyle wycierpiawszy niebezpieczeństw odważyłem się jeszcze kuścić fortunę, y nowe iey szukać niefalski. Sam się temu dziwić nie przestaję, ile sobie razy to przypominam, nie inaczej musiały mię do tego nieuchronne moje wyroki przymuszać. Cokolwiek bądź, przy końcu Roku moiego spoczynku, nagotowałem się na szostą podróż, mimo perlwazy y gorącej proźby moich krewnych, y przyjaciół, którzy cokolwiek tylko mogli czynili dla zatrzymania mnie w Domu.

Zamiast

Zamiałst udania się na morze przez odnogę Perską, poiechalem pierwey przez wiele Prowincyi Perskich, y Indyjskich, y przyiechalem do portu morskiego, u ktorego zabralem się z towarami na okręt, ktorego Kapitan na długą puszczał się żegluggę, iakoż w samey rzeczy trwała długo; lecz oraz tak była nieszczęśliwa, że y Kapitan y Sternik zgubili drogę, y niewiedzieli na którym zostawaliśmy mieyscu. Pomniarkowali na ostatek w ktorey części zostawaliśmy świata, lecz wszyscy podróżni nie mieliśmy ztąd przyczyny ścieżenia się, y owszem, wielką nam to sprawiło boiaźń, y zadumienie, gdyśmy postrzegli, że Kapitan porzuciwszy wszystko serdeczne począł wydawać ięki, rzucił zawoy z głowy, rwał sobie włosy w brodzie, y bił głowę o okręt, iako człowiek szalejący z rozpaczey. Spytaliśmy się go dla czego by się tak trapił: opowiadał wam, odpowiedział, że iesteśmy na mieyscu na całym morzu nayniebezpieczniejszym. Woda bystra ciągnie nasz okręt y we czterech godzinach wszyscy poginiemy. Proście BOGA, ażeby nas od tego bronil niebezpieczeństwa, nie uydziemy go ieżeli się nad nami nie zniisze. To wymowiwszy rozkazał obrocić żagle: lecz liny wszystkie porwały się w oka mgnieniu, y okręt nas z zapędził się pod wysoką arcy gorę, o którą rozbił się, tak iednak, że mogliśmy salwować y życia nasze, y wyratować żywności y niektóre szacownieysze towary.

To

To gdy się stało, Kapitan rzekł do nas, uczyniś BOG z nami co mu się podobało; możemy tu sobie wykopać każdy dla siebie grob, y ostatnią sobie oddać walerę; iścieśmy albowiem w niewieściu tak niebezpiecznym, że żaden człowiek z tych którzy przed nami kiedy się dostali, nie powrócił się z niego do siebie. Dyskurs ten niezmiernie nas zafrasował, poczęliśmy się obopolnie ścisnąć, wylewając izy y opłakując stan nasz nieczęśliwy.

Góra ta pod którą zostawaliśmy, była brzegiem arcy długiej, y obfiterney wyspy. Wiele bardzo znajdowało się przy niej drzewa, z rozmaitych okrętów; mnogość zaś kości ludzkich, któreśmy nie bez wzdrygania się tu y owdzie leżące widzieli, dała nam do zrozumienia, że przy niej nie mało zginęło ludzi. Co zaś prawie rzeczą nie podobną do wiary, iest to, żeśmy znaleźli na tey gorze niezmierną obfitość szacownych towarów. Bogaćstwa te iednak na to się tylko nam przydały, że się pomnożył bardziey ieszcze śmiertelny nasz smutek. Lubo ze wizerkch innych gor rzeki płynąc swoimi korytami w padaią w morze, na tey iednak gorze przeciwna rzecz dała się nam widzieć; woda albowiem słodka wielkim korytem oddzielając się od morskiej wody, w pływa w górę przez otworzystość wielkiej skały. Co zaś nayobliwiziego może być na tey gorze, zdać mi się to, że wszystkie kamienie którekolwiek na niej się znajdują, są albo rubiny,

biny, albo krzyształ, albo inne szacowne klejnoty, widzieliśmy nawet na niey rzekę, ktorey woda podobna jest do finoiy, albo raczey do kleis. Rzeka ta wpływa w morze, rybę zaś porywawszy wyrzuca ją potym z siebie przemienioną w przedni burztyń, ktory potym fale wyrzucają na brzeg. Rośnie na niey wiele bardzo drzew, i ay-więcey iednak drzewa Aldósfowego, nad ktore, lepsze się nie znajduie na wyspie *Komari*.

Ażebym w krotkich słowach opisał to miejsce, dosyć mi jest powiedzieć; że jest przepaścią; nie jest albowiem rzecz podobna, ażebym okręt raz zbliżywszy się do niego, mógł się powrócić. Jeżeli y wiatr y bystrość sama wody ku tey górze popędzają ktory okręt, wtenczas y wiatr y bystrość wody, przyczynia się do iego zguby; jeżeliby zaś wiatr był w inną stronę ktoryby przecięć mógł do ocalenia okrętu dopomódz, wysokość góry nie dać mu odpychać okrętowych żaglow, czyni go niepożytecznym, a tym czasem bystrość sama wody ciągnie okręt w tę stronę, w ktorey się koniecznie rozbić musi. Na dopełnienie zaś naszych nieszczęśliwości, góra ta tak była wysoka, że nie można było żadnym sposobem, na icy dostać się wierchołek, dla salwowania swego życia.

Siedzieliśmy na brzegu morskim iako ludzie bez rozumu y co dzień oczekiwaliśmy śmierci. Z początku zaraz podzieliliśmy między siebie równo żywności, a tak każdy żył mniej lub

dłu-

dłużej nad drugiego, podług swego temperametu, y oszczędności w iedzeniu pokarmow.

Szecherazad i przestała mówić postrzegłszy dzień. Nazajutrz tym sposobem powróciła się do swoiey relacyi.

LXXXVI. NOC.

Ci ktorzy poumierali pierwsi (kontynuował *Syndbad*) pochowani byli od drugich; co do mnie uczyniłem tę ostatnią przyługę wszystkim moim kolegom; czemu nie potrzeba się dziwować: nie tylko albowiem oszczędzałem lepiej a niżeli oni moje żywności, które mi się dostały przez podział, miałem oprócz tego inne jeszcze, którem mocno chował przed moimi kolegami. Z tym wszystkim, gdym pochował ostatniego, tak już mało miałem prowiantow, żem y osądził, iż życie moje nie miało byź dłużej; wykopałem sobie sam grob, rezolwowawszy się skoczyć w ow doł, nikogo albowiem już nie było, koby mi sprawił pogrzeb. Prawda jest, że ię zabawiając się pracą, wyrzucałem sobie na oczy, żem sobie sam do zguby był przyczyną, dla tego, żem się odważył na tę ostatnią podróż. Nie dosyć mi było żem się trapił temi tak martwiącemi reflexyami, zboczyłem krwią moje ręce, kłaniając ie zębami, y o małą rzecz szło, żem sobie nie odebrał życia.

Lecz BOG zlitował się ieszcze nademną, y
podał

podał mi myśl, ażebym poszedł ku rzece wpływającej w wydrążoność skały; tam przypatrzęwszy się iey z wielką pilnością rzekłem sam w sobie, rzeka ta ukrywająca się tak w tej gorze, musi z niej którędy wychodzić. Zrobiwszy sobie trawę y uładziwszy na nie, może, że wypłynę nią do jakiej ziemi od ludzi mieszkanej; jeżeli zginę, odmienię tylko rodzaj śmierci, jeżeli zaś przeciwnie wyrwę się z tego fatalnego miejsca nie tylko uniknę nieszczęśliwego, który się na kolegach moich wypełnił, wyroku, lecz nad to może być, że do wielkich przyjdę bogactw. Ktoż wie; jeżeli fortuna nie czeka na mnie za tą górą, ażeby mi nadgrodziła z profitem za szkodę którą poniosłem przez rozbić się okrętu.

Nie omieszkając począłem pracować koło tratw, zrobiłem je z grubych dyłow, powiązałem je linami, na których mi nie zbywało. Gdy ten dosyć gruntowny skończyłem statek, nappełniłem go rubinami, szmaragdami, bursztynem szarym, krzyształem, y bogatemi materyami. Ułożywszy te wszystkie rzeczy na tratwach równo, a żeby jedna strona nie była ważniejsza nad drugą, y przywiązawszy je dobrze, wsiadłem sam, y nagotowawszy sobie dosyć nie wielkich wiosel, puściłem się ową rzeką spuszczając się zupełnie na wolę Boską.

Jak tylko wpłynąłem w tę iaskinię, nie widziałem światła, a woda niosła mię tak, że nie wiedział w którą miałem wypłynąć stronę. Błąkałem

kałem się dni kilka w tych ciemnościach, nie widząc nigdy najmniejszego słonecznego promienia. Jakiśnia ta w niektórych miejscach tak była niska, iż o małą rzecz było, że mię nie raniła: przeto na wielkiej miałem się ostrożności. Przez cały ten czas tyle tylko zażywałem żywności, których mi jeszcze cokolwiek było pozostało, ile potrzeba było, ażebym się zatrzymał przy życiu. Lecz z jakąkolwiek żyłem oszczędnością, nie stało mi żywności. Wtenczas nie mogłem się oprzeć snowi. Nie mogłem wam powiedzieć iżełim spał długo; lecz przebudziwszy się uyrzrałem się z podziwieniem na obfzernym pculu, przy brzegu rzeki, do ktorey tratwy moje były przywiązane, otoczony będąc wielką liczbą Murzynow. Jak tylkom ich zobaczył wstałem, y niłki uczyniłem im ukłon. Zaczęli do mnie mówić, lecz ja nie rozumiałem ich ięzyka.

Wtenczas w takiej zostawałem radości, że m począł powatpiwać, iżełim spał, albow prawdziwie z temi Murzynami rozmawiał. Wyperswadowawszy sobie, że m nie spał, wymowiłem głośno te słowa po Arabsku. *Wzzyway Wszeczmocności Boskiey, a przyidzie ku twoiemu ratunkowi: Nie potrzeba ażebyś się o jaką rzecz troskał. Zamknyi powieki twoie, a w tym czasie, w którym ty będziesz zasypiał, BOG przemieni nieszczęście twoie w szczęście.*

Jeden z Murzynow ułżyfawszy mnie mówiącego po Arabsku zbliżywszy się ku mnie, y zabra-

zabra
widzi
polac
grun
skiey
niofla
coby
tychn
prow
wiza
dził.
wiedz
fobem
płyni
wey
zadob

wfzy
stko,
z wie
moy
im ex
dział
potrz
nasze
ryina
ten fa
powie
ni: c
Ty

zabrawszy głos, rzekł: nie dziwuy się, że nas tu widzisz, mieszkamy tu na tych, które oglądasz, polach, przyszliśmy dnia dzisiejszego polewać grunta naszą wodą z rzeki wychodzącej z pobliskiej gory. Postrzeegliśmy że woda jakąś rzecz niosła; przybiegliśmy prędko, dla zobaczenia co by było, ujrżeliśmy że to były te tratwy; natychmiast ieden z nas rzuciwszy się w pław, przyprowadził ie do brzegu, zatrzymaliśmy ie, y przywiązali iako widzisz, czekając ażbyś się przebudził. Upraszamy cię pokornie, ażebyś nam opowiedział twoję historiją, która musi być wielce extraordinaryna. Opowiedz nam iakim sposobem odważyłeś się puścić na tę wodę, y zkąd płyniesz. Odpowiedziałem im, ażeby mi pierwej dali ieść, y że posiliwszy się miałem uczynić zadość ich ciekawości.

Ofiarowali mi kilka potraw, a ia uśmierzwszy głód, zacząłem im opowiadać wiernie wszystko, cokolwiek mi się przytrafiło. Słuchali mnie z wielkim podziwieniem, iak tylko skończyłem moy dyskurs, otoż, rzekli przez tłumacza, który im explikował to wszystko, cokolwiekiem opowiedział, otoż iedna z historyi naydziwniejszych! potrzeba koniecznie, ażebyś ią sam opowiedział naszemu Krolowi; rzecz ta tak jest extraordinaryna, że koniecznie jest potrzeba, ażeby Mu ią ten sam opowiedział, któremu się przytrafiła; odpowiadziałem im, że jestem gotow być wszystko uczynić: czego by odemnie chcieli.

Tys. Noc. y jed. Tom III.

F

Mu-

Murzyni posłali czym prędzey po konia, ktorego w krotce przyprowadzono. W sadzili mię na niego, iedni szli przedemną, pokazując mi drogę, drudzy zaś więcey mający nad drugich sił, wzięli na ramiona tratwy na których płynąłem z pakami, ktore na nich były, y szli za mną.

Szecherazada na tych słowach ucięła swój dyskurs; albowiem pokazał się już był dzień, Nazajutrz od tego na czym była stanęła zaczęła na nowo mówić.

LXXXVII. NOC.

Szliśmy wszyscy razem (kontynuował *Syndbad*) aż do Miasta *Serendit*, na tey albowiem wyspie znaydowałem się. Murzyni prezentowali mię swoiemu Krolowi. Zbliżyłem się do Tronu na którym siedział, y oddałem mu ukłon tym sposobem, iakim go oddają Krolom Indyjskim; to jest upadłem przed Jego nogami, y pocałowałem ziemię. Monarcha ten rozkazał mi się podnieść, y mile mię przywitawszy, kazał mi się do siebie zbliżyć, y przy sobie stanąć; pytał mię się nypierwey, iakbym się nazywał: gdym Mu odpowiedział, że się nazywałem *Syndbadem* przezwanym *Morskim*, dla wielu podroży, ktorem odpawił na morzu, przydałem że byłem Obywatelem Miasta *Bagdadu*. Jakim żeś sposobem, rzecze Krol, dostał się do moiego Państwa? którądys do niego wsił?

Nie

Nie ukrywając nic przed Krolem, opowiedziałem Mu rzecz całą, co Mu tak wielkie sprawiło podziwienie, y ukontentowanie, iż natychmiast rozkazał ażeby moje awanturę wypisano złotemi literami, ażeby była konserwowana w Archiwum Jego Krolestwa. Przyniesiono potym traktaty, y otworzono paki w Jego obecności. Wydziwić się nie mógł mnogości aldiżu y bursztynu szarego; lecz osobliwie rubinom y szmaragdom; nie miał albowiem żadnego w swoim skarbcu, któryby do nich był podobny. Gdym postrzegł że się pilnie y z wielkim ukontentowaniem przypatrywał moim kleynotom, biorąc z nich przedniejsze w ręce ieden po drugim klęknąłem przed nim, y rzekłem: Najjaśniejszy Panie, nie tylko się sam oddaę na usługi Waszey Krolewskiej Mości, ale też y traktaty te ze wszystkimi towarami, upraszam Cię pokornie Miłościwy Panie, ażebyś niemi tak dysponował, iak własnym dobrem. Odpowiedział mi uśmiechając się; *Syndbądźcie*, niech mię BOG broni, ażebym miał tego pragnąć, albo żebym Ci co miał z tego odbierać, czego Ci BOG uzyczył. Nie tylko nie umniejszę twoich bogactw; lecz ie ieszcze pomnożę, y niechę ażebyś wychodził z moiego Państwa, bez odebrania wspaniałości moicy dowodów. Odpowiedziałem na te słowa błogosławiąc tego Monarchę, y wysławiając dobroć Jego y wspaniałość terca. Obligował iednego z swoich Urzędników, ażeby o mnie miał staranie, y dał mi ludzi, ktorzyby mi

Jego kosztem służyli. Urzędnik ten pilnie wypełnił rozkazy swojego Pana, y rozkazał przynieść wszystkie paki które się znajdowały na trawach do tego, który naznaczył apartamentu.

Chodziłem dnia każdego o pewnych godzinach na Krolewskie pokoje, resztę zaś dnia trawiłem na przypatrywaniu się w Mieście tym najeńkawszym rzeczom.

Wyspa *Serendyd* położona jest, przy samej północnej linii, dla czego dni y nocy dwanaście w sobie zawsze zawierają godzin. Miało iey Stołeczne, jest przy końcu ślicznej doliny, pod górą, która jest w pośrodku wyspy, a najwyższą się może nazwać w całym świecie. Jakoż widać ją z morza po trzech dniowej od niey żegludze. Ma w sobie ta góra rubiny, y wiele minerałów; a skały iey wszystkie są szmergielowe, którego to kamienia kruszcowego zażywają do murowania. Znajdują się na tey górze różne rodzaje drzew y latorośli, ale nadewszystko cedry y kokosowe drzewa. Poławiają się także w niektórych tey wyspy rzekach perły, y przy brzegach morskich. Nie które zaś iey doliny mają w sobie wiele dyamentów. Zadośćczyniąc memu nabożeństwu, odprawiłem podróż do tego miejsca góry, na które Adam był wygnany z Raju, y z ciekawości na samym iey byłem wierzchołku.

Gdym się powrócił do Miasta, upraszałem Króla, ażeby mi pozwolił iechać do moiej Ojczy-

czyz
niem
im h
z sw
mi d
cy k
mnie
zent,
upew
łem
cuig
go w
rozkr
y Ku
kaza
y wz

skor
swoi
liter
zyku

Ron
bie
xy w
cy K
rou

jest
Bra

czyzny; pozwolił mi natychmiał z oświadczeniem mi swoiey dobroczynności, y z wielkim moim honorem rozkazał mi dać szacowny prezent, z swoiego skarbcu; a gdym się z nim żegnał, dał mi drugi prezent daleko droższy, y list do Rządcy *Wiernych* naszego Monarchy, mówiąc domnie: proszę cię, ażebyś odemnie oddał ten prezent, y list *Kalifie Harounowi Alraszydowi*, y upewnił go o moiey ku Niemu przyjaźni. Wziąłem prezent ten y list znalezitym respektem, obiecując temu Monarsze, że miał punktualnie iego wypełnić rozkazy. Nim wszedłem na okręt, rozkazał Krol zawołać dosiebie Kapitana okrętu, y Kupców, którzy ze mną iechać mieli, y przykazał im, ażeby mi wszelką oświadczała ludzkość y względy.

List Krola wyspy *Serendyd* pisany był na skorze pewnego zwierzątka, arcy szacownego, dla swoiey rzadkości; koior tej skorki był żółtawy; litery tego listu były lazuruowe, ten zaś sens w języku Indyjskim zawierał.

Krol Indyjski, przed którym chodzi tyśiąc *Honiow*, który mieszka w Pałacu mającym na sobie dach iśniejący sto tyśiącami rubinow, y który w skarbie swoim dziedziczy dwadzieścia tysięcy Koron napełnionych dyamentami, *Kalifie Harounowi Alraszydowi*.

Łubo prezent ten który Wam posyłamy jest dosyć lichy, raczcie go iednak przyjąć, po Bratersku, y po przyjaćielsku; mając wzgląd

na tę przyjaźń, która ku Wam w naszym zawsze
zostać sercu, y ktorey Wam życzymy kiedyżkol-
wiek oświadczyć dowody. Prosiemy Was, aże-
byście Nam z Waszey strony wzajemnie nie ubli-
żali przyjaźni, zwłaszcza, że się iey zdaiemy
być godni, ponieważ równą Waszey godności
zaszczycamy się rangą. Oto Was upraszając
ufilnie, wszelkich Wam życzymy pomyślności.

Prezent zawierał w sobie; naczynie ziedne-
go wyrobione rubinu, którego pedestał był wy-
foki na iedną geometryczną stopę, a gruby na
cal; napełnione było to naczynie perłami okrą-
głemi, z których każda ważyła pół drachmy.
Powtore skórę węzową, ktorey łuszcza, tak była
wielka, iak czerwony złoty, y która tę miała cno-
tę, że ci którzy na niey sypiali, wolni byli od
wszelkich chorob. Po trzecie pięćdziesiąt tysię-
cy drachm nayprzedniejszego Aldésowego drze-
wa, y trzydzieści sztuk kanfory extraordinaryney
wielkości, naostatek przy tych wszystkich rze-
czach była Niewolnica rzadkiey piękności, małą-
ca na sobie szary drogiemi okryte kamieniami.

Okręt odbił od lądu, y po długiey y arcy-
szczęśliwey żegludze przypłynęliśmy do Balzo-
ry, ztąd powróciłem się do Bagdadu. Za nay-
pierwszy miałem interes wypelnienie zleconego
mi poselstwa.

Szeberazada na tym miejscu mowić prze-
stała, dla pokazującego się dnia. Nazajutrz tym
spółobem powróciła się do swojego dyskursu.

W
się w
przed
moich
dział
no pr
szy m
komp
czyta
się, ie
był ta
razal
ypow
łem,
czyni
iester
Nie
nad v
chce
na fi
dow
rzan
Urząd
nem
wier
trycz
tysia

LXXXIII. NOC.

Wziąłem list Krola wyspy *Serendyd* (kontynuował *Syndbad*) y poszedłem prezentować się w Bramie Rządcy *Wiernych*, mając za sobą przedziwney urody. Niewolnicę, y naybliższych moich krewnych niosących prezenta. Opowiedziałem interesi, a natychmiast mię zaprowadzono przed Tron *Kalify*. Ukłoniłem się Mu upadłszy na twarz, y powiedziawszy do Niego krotki komplement, oddałem Mu list, y prezent. Przeczytawszy to co się w nim znajdowało, spytał mię się, ieżeliby w samey rzeczy Krol wyspy *Serendyd* był tak potężny y bogaty, iak w swoim liście wyrażał? Upadłem powtornie przed nim na ziemię, y powstawszy: Rządco *Wiernych*, odpowiedziałem, mogę upewnić Twoy Majesttat, że nie przyczynia swoich bogactw, y swoiey wspaniałości; iestem albowiem mu w tey mierze świadkiem. Nic nie może bydź w świecie cudownieyszego, nad wspaniały Jego Pałac. Gdy Monarcha ten chce się pokazać publicznie, wystawiają mu Tron na sioniu, zasiada go, y wpośrodku dwoch rzędów Ministrow, Faworytow, y innych Dworzan, iedzie; przed nim na tymże sioniu ieden z Urzędnikow trzyma złoty proporzec, a za Tronem drugi stojąc, niesie złotą kolumnę, na ktorey wierzchošku leży szmaragd długi na geometryczną stopę, a gruby na cal. Idzie przed nim tysiąc Żołnierzy bogato od złota, y iedwabiu

przybranych, na sioniach przepysnie przystronionych.

Gdy Krol iedzie, Urzędnik stojący przed nim na tymże sioniu, woła przestając przez nieinaki czas wielkim głosem: *Oto wielki Monarcha, potężny y straszny nieprzyjaciółom Sułtan Indyjski, ktorego Pałac okrywaia sto tysięcy rubinow, y ktory dziedziczy dwadzieścia tysięcy dyamentowych Koron. Oto Monarcha większy y potężniejszy niżeli był niegdyś Solima * y Wielki Michrag. §.*

Gdy te kończy słowa Urzędnik będący za Tronem woła także: *Ten Monarcha tak Wielki y tak potężny umrzeć kiedykolwiek musi.* Urzędnik na przedzie stojący odpowiada na te jego słowa wołając: *Chwała niech będzie temu który zawsze żyje a nigdy nie umiera.*

Oprocz tego Krol wyspy Serendyd jest tak sprawiedliwy, że żadnych w Mieście Jego Stolecznym y w całym Państwie nie masz sędziow. Podani albowiem Jego bynajmniej ich nie potrzebują. Znaia się doskonale sami, y regularnie zachowują wszelkie sprawiedliwości prawa, nie ubliżając w niczym swoiey powinności. Przeto Trybunały y Magistraty są dla nich nie potrzebne, Dyskurs mój niezmiernie ukontentował Kalifę. Mądrość tego Krola, rzekł, wydać się w Jego liście

* Salomon § Dawny Krol wyspy tegoż Imienia będący w Indjach arcy sławny u Arabow dla swoiey mądrości y potęgi.

ście a wysłuchawszy twoiey mowy przyznać potrzeba, że mądrość Jego iest godna Jego poddanych, y poddani Jego mądrości. Te wyrzekłszy do innie słowa, pożegnał się ze mną, y odeślał mię do Domu, dawszy mi szacowny prezent.

Syndbad zakończył swoy dyskurs, y słuchający go rozeszli się; lecz Hindbad wziął pierwey ieszcze sto cekinow. Powrócili się wszyscy nanowo, nazaiutrz do Syndbada, który im natychmiał po skończonym obiedzie, zaczął opowiadać siodmą a ostatnią swoię podróż.

S I O D M A

Y

OSTATNIA PODROZ

S Y N D B A D A

M O R S K I E G O.

Powróciwszy się z szostey moiey podróży zarzekłem się iuż więcey żeglować, po morzu, nie tylko dla tego, że wiek moy iuż podeszły przyzwoitego potrzebował spoczynku, iako też że niebezpieczeństwa w ktorych tyle razy znaydowałem się, dały mi się iuż były we znaki: przeto na rokoszach y rozrywkach, przepędzałem mile resztę dni moiego życia. Dnia iednego, ktorego traktowałem wielu moich przyjaćioł, ieden z mo-

ich ludzi oznaymił mi że Dworzanin *Kalify* szedł do mnie. Porwałem się od stołu, y wyszedłem przeciwko niemu. *Kalifa*, rzekł do mnie, rozkazał mi opowiedzieć ci, że chce z tobą mówić; poszedłem natychmiast do Pałacu za tym Dworzaninem; prezentowałem się Monarsze, oddałem Mu ukłon, upadłszy do nog Jego. *Syndbadzie*, rzekł do mnie: potrzebnyś mi jest. Musisz mi iedną uczynić przyługę: to jest zawieść respons moy, y prezenta Krolowi wyspy *Serendyd*. Sprawiedliwa jest rzecz, ażebym Mu za ludzkość Jego zawdzięczył.

Rozkaz *Kalify* raził mię, iako prorok. Rządco *Wiernych*, rzekłem, gotow jestem wypełnić to wszystko, cokolwiek na mnie Twój Majestat włożył; lecz pokornie cię upraszam, ażebyś chciał zważyć że zmurzony już jestem niewypowiedzianemi fatygami. Poprzyśiągłem nawet nigdy więcej, nie wyieżdżać z *Bagdadu*. Tu począłem mu szeroko opowiadać wszystkie moje awantury, których on z wielką słuchał cierpliwością.

Jak tylko przestałem mówić, przyznał rzekł, że wszystkie te które ci się przytrafiły awantury, są extraordinaryne, z tym wszystkim nie powinny mieć tyle w sobie mocy, ażebyś dla nich nie odważył się iedną jeszcze dla pozyskania moiej łaski odprawić podróż. Niczego od ciebie nie żądam, tylko ażebyś zaiechawszy na wyspę *Serendyd* wypełnił zleczone sobie odemnie poselstwo. Wolno ci będzie potym powrócić się za-

raz do *Bagdadu*, koniecznie potrzeba, ażebyś to uczynił. Ponieważ sam widzisz że ani ludzkości, ani godności moicy jest przyzwoita, ażebym Krolowi tej wyspy był co winien. Postrzegłszy że *Kalifa* koniecznie tego odemnie domagał się, odpowiedziałem że bym był gotow wypełnić Jego rozkaz. Ucieszył się niezmiernie, y rozkazał mi dać na expens podróży tysiąc cekinow.

W kilka dni wybrałem się w drogę, y iak tylko mi oddano prezenta *Kalify*, y list własny jego pisany ręką, odiechałem do *Balzory*, gdzie wsiadłem do okrętu. Zegluga moja była arcy szczęśliwa: przyjechałem do wyspy *Serendyd*. Tam opowiedziałem Ministrom przyczynę moiego Poselstwa, y upraszałem ażeby mi nieodwrotnie wyjednali u Krola audyencyą. Nie omieszkali mi uczynić tej przyługi, zaprowadzili mię z wielkim honorem do Pałacu. O świadczyłem Krolowi powinny respekt, upadłszy według zwyczaju przed nim na twarz.

Monarchia ten poznał mię natychmiast, y osobliwszą swoję z przyjazdu mego oświadczył radość: Ah! *Syndbadzie* bardzom kontent z twoiego przybycia. Rzetelnie ci powiadam że po twoim wyjeździe, częstom bardzo o tobie myślał. Szczęśliwy nader jest ten dzień dla mnie, w którym cię raz jeszcze oglądać mogę. Powiedziałem z moicy strony do Krola komplement, y podziękowawszy Mu pokornie za Jego ku mnie dobrośliwość, oddałem prezent y list *Kalify*,

lisy, który on z oświadczeniem wielkiej radości przyjął.

Kalifa przyśłał Mu przezemnie całe łożko z złotej łamy, kosztujące 1000. cekinow: 50. szat z drogiej materyi: 100. innych szat z płotna białego arcy przedniego wyrabianego w *Kairze*, w *Sues* * w *Kuzie* ** y w *Alexandryi*, łożko drugie karmazynowe, y trzecie innym ieszacze fasonem; naczynie Acharkowe sferfize w sobie, anizeli głębsze, grube na palec a maiące w sobie otworzystości na puł geometryczney stopy. Na pedestale iego wyrysowany był człowiek klęczący na ziemi, y wypuszczający z łuku strzałę do lwa: naostatek posłał mu przezemnie bogaty stoł, ktorego że ieszcze wielki *Salomon* zażywał była tradycya. List *Kalify* zawierał w sobie ten sens.

Zdrowia y wszelkiej pomyślności imieniem naywyższego przewodnika prawdziwey drogi, potężnemu y szczęśliwemu Sułtanowi *Abdallab Haroun Alruszyd* dziedziczący po świętej pamięci Przodkach swoich mieysce honoru, życzy.

Odebraliśmy list Wasz z niezmiernym Naszym ukontentowaniem, y raczyliśmy naradzić się z radą naszej Porty, która to nazwać się może ogrodem rozumom bystrych, odesłać Wam respons. Spodziewamy się, że przeczytawszy go pilnie, poznaćie Naszą ku Wam przy-

* Port na morzu czerwonym.

** Miasto Arabkie.

przychylność, która rozumiem będzie Wam arcy miła &c.

Król wyspy *Serendyd* nie zmiernie się ukontentował, gdy zobaczył, że *Kalifa* Jego korrespon-dował przyjaźni. W krotce potym po audyen-cyi naprzykrzałem się o naznaczenie mi czasu do moiego wyjazdu, wczym wiele zażyłem trudno-ści. Pozwolono mi na ostatek wyiechać, y Król żegnając się zemną dał mi znaczny prezent, wśia-dłem natychmiast na okręt z intencją powroce-nia się do *Bagdadu*; lecz nie byłem tak szczęśliwy, ażebym się do niego dostał tak iakom żądał; BOG albowiem inaczey rozrządził.

We trzy albo we cztery dni po naszym wy-iezdzie atakowani byliśmy od Korfarszow, kro-rzy tym mniey mieli trudności w odebraniu nam okrętu, im mniey był obronny. Niektorzy bę-dący na okręcie, chcieli im dać odpor, lecz śmia-łość tę swoje zapłacili życiem, ia zaś y ci ktorzy roztropnie poddali się Korfarszom byliśmy zapro-wadzeni w niewolę.

Dzień pokazujący się nie pozwolił *Szeche-razadzie* więcey mówić. Nazajutrz tym sposo-bem zaczęła kontynuować swą historiją.

LXXXIX. NOC.

Nayaśnieyszy Panie (rzekła do Sułtana Indyi-skiego) *Syndbad* kontynuując awantury osta-miey swoiey podroży, gdy nas, rzekł odarli ze wszyt-

wszystkiego Korfarze, przyodziałwszy nas wliche szaty zawieźli nas na jedną wielką y oddaloną wyspę, y tam nas przedali.

Dostałem się jednemu Kupcowi bogatemu, który zaprowadziłszy mię do siebie, y stroił mię y żywił dość przystoynie na Niewolnika. W kilka dni potym, ponieważ niewiedział jeszcze ktoby był, spytał się jeźelibym iakiego nie umiał rzemieśla; odpowiedziałem mu, że nie był żadnym Rzemieślnikiem; lecz Kupecem, y że mię Korfarze, zabrawszy mi wszystkie towary, przedali. Lecz powiedz mi proszę rzecze, jeźelibyś nie umiał strzelać z łuku? odpowiedziałem że strzelanie z łuku było osobliwszą w młodym wieku moją zabawą, y że go jeszcze nie zapomniał. Wrenczas dawszy mi łuk y strzały, y pośadziwszy mię za łobą na słońcu, zawiozł mię do lasu oddalonego od Miasta na kilka godzin iazdy. Weszliśmy daleko wlas, y gdy już postrzegł naznaczone miejsce, rozkazał mi zsiść y rzekł do mnie, wliź na te wielkie drzewo, y strzelay z łuku do przechodzących tędy słońców, albowiem ich tu wielka jest liczba. Jeźelibyś którego zabił daway mi znać.

To wyrzekłszy, zostawił mi żywności, powrócił się do Miasta, a ja zostałem się na drzewie czatując na słońce przez noc całą.

Przez cały ten czas żadnego nie zobaczył, lecz iak tylko nazajutrz zeszło słońce, wielka ich pokazała się liczba. Wypuściłem do nich strzał kilka.

kilkanaście, y przecież zabitem iednego. Inne rozskoczyły się, y dali mi czas do oznaymienia moiemu Panu, żem ubił zwierza. Za przyniesienie mu tey nowiny, wielkie odebrałem pochwały, y oświadczenia, y należyćiem sobie podiadł. Poszliśmy potym razem do lasu, wykopaliśmy dość wielki, y wnim zakopaliśmy zabitego słonią. Pan albowiem moy miał intencją, wtenczas kiedyby zwierz ten zgnął w ziemi, zabrać iego zęby y niemi handlować.

Kontynuowałem moje łowy przez całe dwa Miesiące, y żadnego niebyło dnia, ktoregobym nie położył iednego słonią. Nie zawsze na iednym ukrywałem się drzewie; wyłaziłem raz na iedne, drugi raz na drugie. Jednego poranku, gdym czekał, ażby przechodzili słonie, postrzegłem z niewypowiedzianym moim podziwieniem, że zamiałł tego, coby mieli przechodzić przedemną wzdłuż lasu według swego zwyczaju, zatrzymały się, y szły ku mnie z strasznym hałasem, y w tak wielkiej liczbie, że ziemia cała zdawała się bydź niemi okryta, y trząść się pod ich nogami. Postrzegli drzewo te na którym ia byłem, y oroczyły go w koło wlepiwszy we mnie oczy. Na te widowisko stanąłem iak nie żywy, y dla wielkiej boiaźni wypuściłem z ręku y strząły.

Jakoż nie próżna była moja boiaźń, słonie albowiem owe dobrze mi się przypatrzywszy przez nie iaki czas, z nich największy obłapił nogami swemi y trąbą drzewo, y tak nim począł trząść,

trząść, że go z korzeniem wyrwał, y położył na ziemi. Upadłem zdrzewem na ziemię; lecz zwierzen wziął mię swoją trąbą, y rzucił mię na swój grzbiet, na którym usiadłem podobny raczey do umarłego, aniżeli do żywego człowieka, mając zawieszony przy boku saydak. Zaczął potym iść przed innemi, które za nim szły trzodą, przyniosł mię na pewne miejsce, y na nim mię położywszy sam z innemi odszedł. Pomiarkuycie w jakim na ow czas znaydowałem się stanie, rozumiałem, że to snem tylko było, a nie prawdziwą rzeczą. Na ostatek leżąc przez długi czas na ziemi, a nie widząc żadnego słońca, wstałem, y zobaczyłem się na pagorku dosyć długim, y obfitym, napełnionym kośćcami, y słońcowemi zębami. Wyznać muszę, że różne mi przychodziły ztąd reflexye. Nie mogłem dosyć wydziwić się tych zwierząt dowcipowi. Nie powątpiwałem, że miejsce to było ich cmentarzem, y że mię nie dla czego innego tam zanieśli, tylko, ażebym ich przestał prześladować, mając obfitość zębów, dla których ich iedynie zabijałem. Niebawiłem się na tym pagorku; poszedłem natychmiast ku Miastu, y po iednego dnia y nocy podróży, przyszedłem do moiego Pana. Nie napadłem w drodze na żadnego słońca, co mi dało do mniemanie, że umyślnie się daley włas oddaliły, ażebym z wszelką wolnością mogł chodzić do tego pagorka.

Pan mój postrzegłszy mię zawołał o nędzny

Synd-

Syna
dział
y zna
dzie
nada
ażeb
mi, p
brod
fyć i
mna
flowa
słonia
mog
sta, l
bowi
odeb
mię
ci B
cię w
samy
chcia

dego
sylan
im d
ką d
od i
świa
cię P
seczn
T.

Syndbadzie, bardzom się frašował, że m nie wiedział gdzieś się mi był podział. Byłem w lesie: y znalazłem w nim drzewo nowo wyrwane, tudzież łuk y strzały na ziemi leżące, y gdy m cię nadaremnie przez długi czas szukał, zwątpilem, ażeby m cię kiedy mógł zobaczyć. Opowiedz mi, proszę, co się z tobą działo. Przez jakie dobrodziejstwo żyjesz jeszcze? Uczynilem zadość iego ciekawości, a nazajutrz poszedłszy ze mną do wzwyż rzeczzonego pagorka, poznał że słowa moie były prawdziwe. Nakładliśmy na słońca, na którym przyiechaliśmy byli, tyle, ile mógł unieść zębów y gdyśmy powrócili do Miasta, Braciszku mojemu, rzekł do mnie, nie mogę albowiem cię nazywać teraz moim niewolnikiem, odebrałszy od ciebie te dobrodziejstwo, które mnie do wielkich przyprowadzi bogactw. Niech ci BOG da wszelkie pomyślności, y błogosławi cię w całym twoim życiu. Świadcze się tymże samym Bogiem, że cię daruję wolnością. Niechciałem ci tego powiadać co ci teraz opowiem.

Słońce znajdujący się w lesie, wiele nam każdego Roku gubią niewolników, których my posyłamy na zbieranie ich zębów. Jakieżkolwiek im dawaliśmy przestrogi, tracili jednak życie sztuką dowcipnych tych zwierząt. BOG uwolnił cię od ich zaiadłości, y tobie tylko samemu tę wyświadczył łaskę. Znak to jest, że cię kocha, y że cię potrzebuje jeszcze, ażebyś był światu pożyteczny. Niewypowiedzianą mi uczynił łaskę,

szukaliśmy do tych czas sioniowych zębów, przez utratę, y wydanie na rzeź tym okrutnym zwierzm naszym Niewolników; a teraz przyśluga twoja, którąś mi uczynił, zubożała bez żadney szkody całe nasze Miasto. Nie rozumiey, ażebym mniemał, żeś ci dosyć nadgrodził darowawszy ci wolność; przydam ci jeszcze do tego znaczne bogactwa. Mogł bym przymusić całe nasze Miasto, do dania ci nadgrody za tę twoją wielkoy wagi czynność, lecz sam żądam mieć pragnę chwałę y honor.

Na ten tak obligujący dyskurs, odpowiedziałem: Panie, niech ci BOG nadgrodzi; wolność którąś mi oddał, dosyć dla mnie wielką jest zapłatą, y w nadgodę za przyślugę, którą uczyniłem tobie y całemu twojemu Miastu, oto cię tylko proszę, ażebyś mi pozwolił powrócić się do moicy Ojczyzny. Dobrze więc, odpowiedział mi, przyjdą w krotce okręty po sioniowe zęby, wsiądziesz na nie, wzięwszy odemnie na drogę pieniędzy; zaidziesz do Ojczyzny. Podziękowałem mu powtornie za wolność, y za nowe oświadczenia. Zostawałem przez nieiaki czas u niego, czekając, ażby sprzyjający wiatr nastąpił, przez który to czas tyleśmy razy powrócili od pagorka z sioniowemi zębami, żeśmy całe napełnili iklepy. Wszyscy Kupcy tego Miasta w krotce toż samo uczynili; ponieważ to przed nimi długo ukryć się nie mogło.

Na tych słowach *Szecherazada* postrzegłszy dzień,

dzień, zakończyła dyskurs. Lecz w następującej nocy wrociła się do niego, tak do Sultana Indyjskiego mówiąc:

XC. NOC.

Najjaśniejszy Panie, *Syndbad* kontynuując relację o siódmej swojej podróży: okręty, rzekł, na ostatek przyśli, y Pan moy wybrałszy z nich sam ieden, naładował go słonowemi zębami, kazał mi na niego wsiść, oświadczywszy że połowa tego towaru do mnie należała. Nie zapomniał oprócz tego dać mi na okręt bardzo wiele żywności, y przymusił mię prawie, ażebym od niego przyjął arcy drogic prezenta. Podziękowawszy mu iak tylko mogł za tę jego ku mnie dobroczynność, wsiadłem na okręt. Odbyliśmy od brzegu, a że awantura będąca przyczyną moiej wolności, była arcyextraordynaryjna, ustawicznie o niej myślał.

Zabawiliśmy się na niektórych wyspach, dla wzięcia potrzebnych spoczynków. Gdy okręt nasz przybił do portu lądowego Miasta w Indyi, dla uniknienia niebezpieczeństw morskich, rozkazałem z okrętu powynosić słonowe zęby, y inne do mnie należące towary, postanowiwszy lądem powracać do *Bagdadu*. Zebrałem wielką sumę za słonowe zęby, y nakupowałem bardzo wiele rzadkich rzeczy na prezenta, y ułatwiłszy moie interesa, przyłączyłem się do wielkiej

kompanii iadących Kupcow. Zostawałem długo w drodze, y wielem wycierpiał biedy; lecz przypominając sobie żem się nie miał przyczyny obawiać, ani nawałności, ani węzów, ani innych niebezpieczeństw ktorychby mi się obawiać potrzeba było na morzu, cierpliwem znosił wszelkie przykrości.

Wszelkie te nakoniec fatygi skończyły się, przyjechałem szczęśliwie do *Bagdadu*: poszedłem natychmiast prezentować się *Kulifie*, sprawując się mu z moiego poselstwa. Monarcha ten oświadczył się, że bawienie się moje w drodze, wielką mu sprawiało troskliwość; spodziewał się iednak że mię BOG nigdy opuścić nie miał.

Gdy m mu opowiedział moję awanturę, w wielkim zostawać począł zadumieniu, y nigdyby mi był nie uwierzył, gdyby mu moia szczerłość nie była wiadoma. Historya ta moia y inne ktorem opowiedział, tak mu się zdały być ciekawe, że rozkazał natychmiast Sekretarzom swoim, złoćtemi ie wypisać charakterami, ażeby mogły być w Archiwum Jego zachowane dla potomności. Odtzedłem od Niego z wielkim honorem, y z szacownemi prezentami; potym cieśzyć począłem się w Domu z familią, moją krewne mi, y przyiaciołmi.

Na tym *Syndbad* zakończył relacyą o siodmiej y ośtatniej swoiey podroży, y obroćiwszy się potym do *Hindbada*; wyszatżes kiedy, Przyiacielu, rzecze: ażeby kto tyle, ile ia ucierpiał, albo

ieżeli

ieżeli ktory człowiek nademnie znajdował się w większych niebezpieczeństwach? Nie jest że rzecz sprawiedliwa, ażebym po tylu pracach mego y spokojnego zażywał życia? Gdy to mówił, *Hindbad* zbliżywszy się ku niemu, y pocałowawszy go w rękę, rzekł: przyznaję Panie, żeś w wielkich zostawał niebezpieczeństwach. Prace moje nie mogą iść w porównanie z twoimi. Jeżeli mię z iedney strony, cokolwiek trapią, ciężą mię z drugiej strony, iakimkolwiek profitem, ktory mi przynoszą. Nie tylko zasłużyłeś sobie na spokojne życie, ale też arcy godzien jesteś wszystkich tych bogactw, ktore dziedziczysz, ponieważ ich tak dobrze zażywasz, y jesteś tak wspinałym. O gdyby ci *BOG* pozwolił żyć w radości, y ukontentowaniu, aż do ostatniego momentu życia.

Syndbad rozkazał mu dać jeszcze sto cekinow, y przyjął go w liczbę swoich przyjaciół, y zakazał mu bawić się profesyją *Drążnika*; tudzież prosił go ażeby zawsze przychodził do iego stołu, y niewypuszczał go nigdy z pamięci.

Szecherazada widząc, że jeszcze nie był dzień zaczęła nową *Historyą*.

TRZY JABŁKA

Nayiaśniejszy Panie, rzekła, miałam już honor opowiadać Waszey Cesarzkiej Mości o iednym nocnym wyjściu z Pałacu *Kalify Harun*

Alraszyda, dnia dzisiejszego zechcę Waszey Cesarzkiej Mości opisać, Jego drugie nocne wyście. Monarcha ten, rozkazał Wielkiemu Wezyrowi *Giasarowi*, ażeby się znajdował na noc następującą w Pałacu. Wezyrze, rzekł do niego, pragnę obeyść Miałto, y informować się o czym ludzie moi mówią, ieżeli są kontenći z moich Urzędników. Jeżeli znaleźliby się ktorzy niesprawiedliwi, złożemy ich z Urzędu, a innych postanowimy, ktorzyby pilniey swoje wypełniali powinności. Jeżeliby zaś znajdowali się tacy ktorzy, z ktorychby poddani moi byli kontenći, będziemy na nich mieli te względy, na ktore sobie zasługują. Wielki Wezyr przyszedłszy do Pałacu, na naznaczoną godzinę, *Kalifa* z nim y z *Mezruerem* przełożonym nad Rzezańcami przebrawszy się, ażeby nie byli poznani, wyszedł z Pałacu.

Przeszli przez wiele ulic, y przez wiele placow, gdy weszli wiedną ciasną uliczkę, zobaczyli po świetle Miesiąca, staruszka z siwą brodą, dobrego wzrostu, niośącego na głowie sieć; miał na ramieniu kosz pełny palmowych liściow, y laskę w ręce. Staruszek ten, rzekł *Kalifa*, niezdaie mi się być bogaty. Zbliży się ku niemu, y spytamy się, ktoby był. Staruszkowi, rzekł do niego Wezyr, kto ty jesteś? Panie, odpowiedział starzec, jestem Rybak, lecz nayuboższy, y nayędzniejszy ze wszystkich Rybakow. Wy-szedłem odemnie zaraz po południu na ryby, y

od tego czasu, aż do tej godziny, żadney nie ułowilem rybki. A przecie mam Zonę y małe dzieci, których niemam czym wyżywić.

Kalifa wzruszony miłosierdziem rzecze do Rybaka; chceszże powrócić się do rzeki, y zarzuścić ieszcze raz twoie sieci? Damy ci sto cekinow za to, cokolwiek wyciągniesz. Rybak na tę propozycyą, zapomniawszy o ciężkiej swoiey cafe-go dnia fatydze, uchwycił *Kalifę* za słowo, y szedł natychmiast z nim y z *Giafarem* y *Mezruerem* ku rzecze *Tygrowi*, mówiąc sam w sobie: Panowie ci zdają mi się wspaniali, y grzeczni; a zatem niezechcą nadaremnie moiey fatygi, y chociażby mi tylko setną dali częśćkę tego co mi obiecują, wieleby to dla mnie ieszcze było.

Przyšli na brzeg *Tygra*, Rybak zarzucił sieci, potym wyciągnąwszy je, znalazł w nich skrzynią dobrze zamkniętą, y arcy ciężką. *Kalifa* rozkazał Wielkiemu Wezyrowi wyliczyć mu sto cekinow, y kazał mu iść do Domu. *Mezruer* wziął skrzynię na ramiona, y nioś ią do Pałacu z rozkazu *Kalify*, który wielką pałą chęcią dowiedzenia się, coby w niej było. Jak tylko otworzono skrzynkę,aleziono w niej wielki kosz napelniony palinowemi liśćiami, zamknięty dobrze, y zawiązany czerwonym wełnianym sznurkiem. Dla zadosyć uczynienia ciekawości *Kalify*, nie bawiono się nad rozwiązywaniem tego sznurka, przerznięto go nożem, y wyciągniono z kosza pakę obwinioną w stary kobierzec, y związaną sznu-

rem. Gdy sznur przerznięto, y pakę rozwinięto, widzieć się dało nie bez wzdrygania się zapatrzących, młodey Damy ciało, białe iak śnieg porznięte na sztuki.

Szecherazada na tym miejscu postrzegłszy dzień, przestała mówić. Nazajutrz zabrała głos w ten sposób.

XCI. NOC.

Nayiaśniejszy Panie, miarkować Wasza Cesarzka Mość możesz, że nie potrafię wyrazić słowy podziwienia, w którym dla zapatrywania się na tak straszne widowisko zostawał *Kalifa*. Lecz z podziwienia w padł w krotce w cholere, y pożyłszy na Wezyra niemiłosiernym okiem, ah! nędzny człowiecze, rzekł do niego, y także to na sprawy ludu mego masz oko? za twego Ministrowstwa tak bezkarnie w Stołecznym moim Mieście popełniają się zaboystwa, y rzucają poddanych moich do *Tygru*, ażeby mi potym w dzień sądu nieżnośne czynili zarzuty? Jeżeli się nie zemścisz za śmierć tej kobiety, przez stracenie zaboycy, poprzyśięgam przez czcigodne BOGA moiego Imię, że cię rozkażę z czterdziestą twoimi krewnemi powiesić. Rządco *Wiernych*, rzecze Wielki Wezyr, suplikuję Waszey Cesarzkiej Mości, o pozwolenie mi cokolwiek czasu do wyszukania zaboycy. Trzy dni ci tylko pozwalam, odpowie *Kalifa*. Myśląc o tym dobrze.

Wiel-

Wielki Wezyr niezmiernie zafraowany, poszedł do swojego Domu. Ah! niestety: jakimże sposobem w tak obfzernym y ludnym Mieście iakie iest *Bagdad*, będę mógł wynaleść zaboycę, który podobno potaiemnie te uczynił zaboytwa, y wyszedł z Miasta? kto inny podobno będąc na moim mieyscu, kazałby wziąć ktorego Niewolnika zwięzienia, y zabić go dla ukontentowania *Kalify*; lecz ia niechcę kazić cherehelem moiego sumnienia, y wolę umrzeć, aniżeli tak niegodziwym fortelem ocalić moje życie.

Rozkazał Urzędnikom przestrzegającym porządku, y sprawiedliwości, ktorzy mu byli arcy posłuszni, szukać pilnie winowaycy. Rozeszali na tychmiał ludzi po wsiach y po polach, y sami poiechali szacuiąc sobie bardziey życie Wielkiego Wezyra, aniżeli swoje własne. Lecz wszystkie ich starania były nie pożyteczne, iakozkolwiek pilnie szukali niemogli wynaleść autora zaboystwa, y Wezyr osądził, że bez osobliwszego cudu Boskiego, potrzeba mu było pożegnać się z światem.

Jakoż iak tylko dzień trzeci przyszedł, odzwierny pokazał się w progach nieszczęśliwego tego Ministra, y rozkazał mu iść za sobą. Poszedł za nim natychmiał Wezyr, y gdy go *Kalifa* spytał, ieżeliby wynalazł zaboycę: Rządco *Wiernych*, odpowiedział mu łzy wylewając, nikogom nie znalazł, któryby mi naymnieyszą o nim mógł dać wiadomość. *Kalifa* rozgaiewa-

ny, uczyniwszy dosyć zaiadłości swoiey, przez wyrzucanie mu na oczy w Urzędzie iego niedbalstwa, rozkazał go z czterdziestą *Barmecydami* * iego krewnemi powieścić przez Bramę Pałacu.

Gdy stawiano szubienicę, y brano *Barmecydow* z ich Pałacow, Woźny publiczny z rozkazu *Kalify* obwoływał po wszystkich rogach Miasta. *Kto chce widzieć miszącego Wielkiego Wezyra Giasara, y czterdziestu Barmecydow iego krewnych, niech przychodzi na plac który jest przed Pałacem.*

Gdy wszystko już było gotowe, Sędzia kryminalny, y wielka liczba Dworskich Żołnierzy, przyprowadzili Wielkiego Wezyra, y czterdziestu *Barmecydow*; postawili każdego pod szubienicą na ktorey z nich każdy miał wisieć, y założono im na szyie stryczki, lud który cały ten plac napelnił, nie mógł zapatrywać się na te tak okropne widowisko bez żalu, y wylewania łez, Wielki albowiem Wezyr z *Barmecydami* swoiemi krewnemi, na wielką sobie przez cnoty wysokie, zużył miłość y respekt. Wspaniałość tej Familii, y niezłukanie własnego interessu, nie tylko w *Bagdadzie*, ale też w całym Państwie *Kalify* słynęło.

Nie było to iednak pobudką *Kalifie* okrutnemu

* *Barmecydowie* była to familia Perska z ktorey pochodził Wezyr *Giasar*; możeliż zobaczyć Bibliotekę orientalną P. Herbelot pod słowem *Barmekian*.

tnemu, ażeby swoy odwołał dekret, iuż miano odbierać życie nayzacznicyszym w całym Mieście Mężom, gdy Młodzieniec urodziwy y bardzo ślicznie przybrany, począł rozpychać gmin, przystąpił do Wezyra, y pocałowawszy go w rękę, rzekł: Naywyższy Wezyrze, Głowo wszystkich Dworskich Emirow, wspomożycielu ubogich, nie popełniłeś występku, za który jesteś na t-m mieyscu, oddał się ztąd a pozwól niech ia zginę za zabicie Damy wrzuconey do *Tygru*. Ja jestem icy zaboyca, y godzien jestem, ażebym był skarany.

Lubo ten dyskurs niezmierną Wezyra napełnił radością, wzruszył się jednak litością nad Młodzieniecem, ktorego fiziognomia nie tylko nie wyrażała w sobie okrutnego; lecz nad to każdego do siebie pociągająca ferce; gdy chciał do niego mówić, człowiek ieden wielkiego wzrostu w podeszłym iuż będący wieku, przecisnąwszy się przez tłum ludu, y przystąpiwszy do Wezyra, rzekł: Panie niewierz temu co ci ten Młodzieniec powiada, ia nie kto inny zabiłem Damę znalezionej wskrzynce. Ja powinienem za to odebrać karę. Ah! przez Imię Boskie zaklinam cię, nie karz niewinnego za winowaycę. Panie, rzecze Młodzieniec do Wezyra, poprzyśięgam ci że ia sam ten szkaradny popełnił występki; nikt się do niego nie przyczyniał. Synu moy, przerwał mu mowę starzec, rozpacz cię sprowadziła na te mieysce, chcesz sobie skrócić życie, co do mnie, dosyć długo żyłem na świecie, nie potrzeba,

ba, ażebym moje ocalał życie. Pozwólże mi Panie, ażebym za ciebie umarł, przydał obrociwszy się do Wezyra, powtornie ci powiadam że jestem zaboyca, rozkaż mię powieścić, y nie odwłaczay moiey śmierci.

Natręstwo tego starca, y Młodzieńca było przyczyną, że ich Wezyr *Giasar* rozkazał obydwóch zaprowadzić przed *Kalifę*, na co Sędzia kryminalny, kochający serdecznie Wezyra, chętnie zezwolił. Przyszedszy przed oblicze tego Monarchy, pocałował siedm razy ziemię, y w te mowić zaczął słowa: Rządco *Wiernych*, przyprowadzam Waszey Cesarzkiej Mości tego starca, y tego Młodzieńca, z których każdy powiada, że jest zaboycą Damy. Tu spyta się *Kalifa* oskarzonych, który by z nich, tak okrutnie zamordował Damę, y wrzucił do *Tygru*? Młodzieniec twierdzi że on nie kto inny; lecz starzec przeciwną rzecz utrzymywał, rozkaż rzekł *Kalifa* do Wezyra obydwóch powieścić. Lecz, Nayaśmiejczy Panie, rzecze Wezyr, jeżeli ieden tylko jest winowayca, niesprawiedliwość by była gubić drugiego. Na te słowa Młodzieniec, przysięgam na Imię Wielkiego BOGA, który stworzył wysokie Nieba, że ja zabiłem Damę, porzuciłem ją na sznuki, y już od czterech dni wrzuciłem ją w rzekę *Tygrys*. Niechęć mieć części z sprawiedliwemi w dzień ostatniego sądu, jeżeli to co mowię nie jest prawda, a więc mnie potrzeba ukarać śmiercią. *Kalifa* zadumał się nad tą jego przy-

sięst.

sięgą, y uwierzył iego słowom, zwłaszcza że starzec więcej nie mówił. Przeto obrociwszy się do tego Młodzieńca, niegodziwy człowiecze, rzekł do niego, z jakiegoż przyczyny popełniłeś tak okrutny występki? y co cię pobudziło do tego, że się sam ofiarujesz na śmierć? Rządco *Wiernych*, odpowie Młodzieniec, gdyby opisano to wszystko, co się między mną y tą Damą działo, mówić mogę, że awantury te wszystkie były by pożyteczną dla potomności historyą. Opowiedz nam więc twoją historyą, rzecze *Kalifa*: ta jest moja wola. Młodzieniec był natychmiast posłuszny, y tak zaczął relacyą.

Szecherazada chciała kontynuować swój dyskurs; lecz dla dnia pokazującego się musiała go odłożyć na noc przyszłą.

Szachbryar uprzedził Sułtanową, spytał się co Młodzieniec powiedział *Kalife Harounowi Alrafzydowi*. Najjaśniejszy Panie, odpowiedziała *Szecherazada*, zabrał głos y mówił w te słowa,



XCII. NOC.

HISTORIA
O
DAMIE ŻABITEY
Y
O MŁODYM JEY
MĘZU

Rządco *Wiernych*, wiedzieć masz że Dama ta zabita była moją Zoną, a Corką tego starca k którego widzisz, który jest moim Stryciem. Nie miała nad 12. lat, gdy mi ją dał za Zonę, a 11. już minęło od tego czasu, w którym pobraliśmy się. Miałem z niey trzech Synów, którzy ieszcze żyją; y przez sprawiedliwość przyznać iej małżę, że mi najmnieyszey do gniewu nie dała nigdy przyczyny; była mądra, obyczajna, y ułufująca podobać mi się. Zmoiey słony, kochałem ją serdecznie, y nie tylkom się iej nie sprzeciwiał pragnieniom; alem też ie umiał czestokroć poprzedzić.

Około dwóch będzie Miesiący, iak mi zachorowała. Wszelkie o niey miałem staranie y niczemu nie opuścił, cobym mógł uczynić dla przywrocenia iej zdrowia. Przy końcu Miesiąca, poczęła do siebie przychodzić, zachciało się iej

ić do łaźni. Nim wyszła z Domu, rzekła do mnie, Bracišku moy, tak mię albowiem nazywała przez podusałość, wielkie mam pragnienie do iabłek, niezmiernie byś mię ukontentował, gdybyś się mi o nie postarał. Od dawnego już czasu te we mnie trwa pragnienie, y przyznam ci się, że tak jest extra ordynaryjne, że ieżeli go nie ugaszę, hoję się, ażeby mi się zżąd co nie przytrafiło. Bardzo do-
brze, odpowiedziałem, będę się wszelkimi starał sposobami, ażebym cię ukontentował.

Chodziłem natychmiast po wszystkich ryn-
kach, y sklepach; lecz nie znalazłem żadnego, chociaż za iedno obiecywałem dać czerwony złoty. Powrociłem się do Domu nie ukontentowany będąc żem się nadaremnie fatygował. Zona zaś moja powrociwszy się z łaźni, a nie zobaczywszy iabłek, tak sobą nudziła, że przez noc całą spać nie mogła. Wstałem bardzo rano, y poszedłem po wszystkich ogrodach; lecz nie więcej wskorałem, iako dnia wczorayszego. Porukałem się tylko z iednym starym Ogrodnikiem, który mi powiedział, że iakożkolwiek bym się fatygował nie miałem ich nigdzie znaleźć, procz w ogrodzie Walszey Cesarskiej Mości w *Balzorze*.

Ponieważ kochałem passyami moję Zonę, niechciałem nie popełniać, coby iej mogło być przyczyną, do wyrzucenia mi na oczy, żem zaniedbał dogodzić iej pragnieniu, wziąłem na siebie suknie podróżne y opowiedziawizy iej moję intencją poszedłem, do *Balzory*. Tak pilnie od-
pra-

prawilem moię podróż, żem przy zchylku dwóch Niedziel powrocił się do Domu. Przyniosłem troie iabłek z ktorych każde kosztowało mnie ieden cekin. Nie byto ich więcey w ogrodzie, y Ogrodnik nie chciał mi ich taniey spuścić. Powrociwszy dałem ie moiey Zonie; lecz ią iuż wtenczas ominęło to pragnienie. Kontentowała się iednak odebrać ie odemnie. Tym czasem ustawicznie chorowała, y niewiedziałem co iey iuż miałem radzić.

W kilka dni po moiey podróży będąc w moim sklepie, na publicznym rynku, na ktorym przedają się różne rodzaje materyi, zobaczyłem w chodzącego wielkiego wzrostu Niewolnika Murzyna, mającego w ręku iabłko, które poznałem że było iedne z przyniesionych odemnie z *Balzory*. Nie mogłem o tym wątpić; ponieważ wiedziałem dobrze, że żadnego nie było w całym *Bagdadzie*, y w żadnym w okolicy ogrodzie. Zawołałem na Niewolnika. Dobry człowiecze, rzekłem: powiedz mi proszę z kąd dostałeś tego iabłka; Prezent to iest, odpowiedział mi, uśmiechając się, który mi dała moia kochanka. Byłem dnia dziłicyzszego u niey y załżałem ią trochę chorą. Zobaczyłem trzy iabłko, około niey y spytałem się z kąd by ich dostała: odpowiedziała mi, że iey Mąż ie przyniósł, po dwóch niedzielney podróży, którą odprawiał szukając ich. Pogadaliśmy z sobą razem, a odchodząc od niey wziąłem te iedne sobie iabłko, które widzisz.

Na

Na dyskurs ten odszedłem od zmysłów, porwałem się z tego na którym siedziałem mieysca, y zamknąwszy sklep, poszedłem czym prędzey do pokoju moiey Zony. Począłem natychmiast patrzeć iabłęk, a dwa ich tylko zobaczywszy spytałem się, gdzieby było trzecie. Na ow czas Zona moja obrociwszy głowę ku iabłkom, y dwa ich tylko zobaczywszy, odpowiedziała mi oziębłe, moy Braciszku, niewiem gdzie się jedno podziało. Tę icy odebrawszy odpowiedź łatwom uwierzył temu, co mi powiedział Niewolnik: y natychmiast wpadłszy w szalony gniew porwałem za noż będący u pasa y zatopiłem go w garle niedzney, niefortunliwej moiey Zony. Oderznąłem icy potym głowę, y porzuciłem ciało icy na sztułki; uwinąłem go potym w pakę, y włożyłem w kosz, który zasznurowawszy czerwonym wełnianym sznurkiem, zamknąłem w skrzynkę; tę wziąwszy na ramiona, zaniosłem do rzeki *Tygrys* y wrzuciłem ją w wodę.

Dwaj mali Synowie moi, położyli się już byli, y śpali dobrze, a trzeciego nie było w Domu: powracając się zobaczyłem go siedzącego w Bramie Domostwa, rzewne łzy wylewającego. Spytałem się go o przyczynę płaczu. Tauniu, rzekł do mnie, wziąłem dnia dzisiejszego rano Maruni iabłko iedne z tych trzech któreś icy przyniosł. Chowałem go długo; lecz gdym się nim bawił na ulicy z moimi małeńkimi Braciszkami, wielki iakiś Niewolnik przechodzący wydarł mi go

Tys. Noc. y jed. Tom III.

H

zrak;

zrak; biegłem za nim daleko, prosząc ażeby mi go oddał, lecz nadaremnie; powiedziałem mu że te jabłko było moiej Matki chorey, żeś dwóch niedzielną odprawił podróż szukając go, wszystkie te słowa moje były niepożyteczne. Niechciał mi go oddać, a gdym gonił za nim krzycząc; wrocił się do mnie y obił mię, a potym począł uciekać ze wszystkich sił z ulicy do ulicy, tak dalece, że m go z oczow zgubił. Od tego czasu bawiłem się za Miałem, y czekałem na ciebie Tatuniu, chcąc cię prosić, ażebyś przeprosił Matunię bojąc się, ażeby bardziey ieszcze nie zachorowała. Te wymowiwszy słowa obfitsze ieszcze począł wylewać łzy.

Mowa moiego Syna w śmiertelny mię rzućifa smutek. Poznałem na ow czas szkaradność moiego występku, y żałowałem ciężko, lecz po niewczasie, że m fa wo uwierzył imposturom przekłętego niewolnika, który z tego co usłyszał od moiego Syna, z kleiif baieczkę, którą ia nieszczęśliwy wzięsem za rzecz prawdziwą. W tym Strymoy który tu iest przytomny, nadśzedł, chcąc nawiedzić swoię Corkę; lecz zamiast zobaczenia iey żywey, dowiedział się odemnież samego że iuż w podziemnym była grobowcu; nie ukrywałem albowiem przed nim niczego, y nieczekaąc iego dekretu, osądziłem się sam za naywiększego ze wszystkich ludzi złoczyńcę. Ztym wszystkim, zamiast przydania mi żalu przez sprawiedliwe swoje uskarzania się, y wyrzuty, złączył łzy swo-

ie z moiemi, y obydwa razem przez całe trzy dni płakaliśmy bez przyęcia żadney pociechy; on opłakiwał śmierć Corki, którą serdecznie zawsze kochał, a ja straćę nayukochańszey moiey Zony, ktorey samno chcąc pozbawiłem się, sposobem tak arcy okrutnym, dla łatwo daney wiary kłamliwemu Niewolnikowi.

Masz Rządco *Wiernych* szczere y rzetelne wyznanie, ktoregoś odemnie żądał. Wiesz teraz wszystkie okoliczności moiey zbrodni, proszę Cię pokornie Miłościwy Panie, ażebyś wydał na mnie dekret, chociażby był naysurowszy y nayokrutniejszy, nie będę się na przykrość iego uskarżał; y owszem poczytam go za nader sago-dny. *Kalifa* w wielkim zółtawac począł zadumieniu.

Szecherazada te zakończywszy słowa, postrzegła dzień, y przestała mówić. Lecz w następującej nocy wrociła się ieszcze do swojego dyskursu.

XCIII. NOC.

Nayiaśniejszy Panie, rzekła, dyskurs Młodzieńca, *Kalifę* w wielkie w prowadził podziwienie. Monarcha ten jednak sprawiedliwy, osądziwszy że bardziey był ten człowiek nieszczęśliwy godzien politowania, aniżeli występny, y godzien kary, ulitował się nad nim, uczynek ten młodemu temu człowiekowi y BOG łatwo przepuści, y lu-

dzie nie ciężko darować powinni. Przeklęty Niewolnik jest tylko przyczyną tego zabójstwa; jego więc potrzeba koniecznie ukarać śmiercią. Przeto obrociwszy się do Wezyra rzekł: trzy dni ci pozwalam na wynalezienie go. Jeżeli mi go w tym terminie nie przystawisz, na jego miejscu będziesz skarany.

Nieszczęśliwy *Giafar*, który rozumiał że już wybrnął z niebezpieczeństwa, nowym rozkazem *Kalify* był przerażony; lecz ponieważ nieśmiało nie odpowiedzieć temu Monarsze, którego dobrze znał humor, zszedł mu z oczów, y poszedł do siebie zalawszy się łzami, przekonany będąc, że trzy dni tylko miał żyć na świecie. Tak albowiem był wyperśwadowany, że nie miał znaleźć rzeczzonego Niewolnika, że nawet go y szukać niechciał; nie jest rzecz podobna, mówił sam w sobie, ażeby w tak wielkim Mieście, iakie jest *Bagdad*, w którym znajduje się niezmierna liczba Niewolników Murzynów, można poznać tego, który jest winny: jeżeli mi BOG nie wyda go tak iako mi wydał zabójcę, nie mię uwolnić nie potrafi od śmierci.

Przepędził całe dwa dni trapiąc się z całą swoją Familją, która rzewliwie płakała, stojąc około niego, uskarżając się y płacząc na surowy *Kalify* dekret. Gdy trzeci dzień zbliżył się, dysponował się na śmierć z niewypowiedzianą stałością umysłu, iako sprawiedliwy y nie czuący się do niczego Minister. Przywołał do siebie Kady-

fow,

fow, y
fany v
gnał fi
oddał
ięki, ta
to z na
mogło
opowi
iz żad
nie, k
ści.
nierze
gdy w
Corec
wiały
do Oy

Zoln
ieszcz
swoie
pocał
pazuc
pach.
za pa
iabłk
szego
dał m

* S
z
n
i

low, y świadkow, którzy wszyscy podpisałi napisany w obecności ich testament. Potym pożegnał się z swoją Zoną, y dzieciom swoim ostatnią oddał walęcę. Cała Familia żałosne wydawała ięki, tak dalece, że mówić można, iż widowisko to z najdzikszego serca łzy wycisnąć potrafić by mogło. Na ostatek przyszedł Dworski Żołnierz, opowiadając mu że *Kalifa* był wżym humorze, iż żadnych ani o nim, ani o Niewolniku Murzynie, ktorego mu szukać kazał, nie miał wiadomości. Strapiony Wezyr, zabierał się już iść z Żołnierzem przed Tron swojego Monarchy; lecz gdy wychodził, przyprowadzono mu małą Coreczkę, nie mającą więcej nad pięć lat. Niewiasty mające o niey staranie, przyprowadziły ją do Oycy, ażeby się z nią raz ostatni naćieszył.

Ze kochał serdecznie owe dziecko, prosił Żołnierza, ażeby się choć moment ieden mógł jeszcze zatrzymać. Na ow czas zbliżył się do swoiey Coreczki, wziął ją na ręce, y kilka razy pocałował. Całując ją, postrzegł że miała za pazuchą rzecz jakąś grubą, y wydającą z siebie zapach. Moie dziecko, rzekł do niey, coż to masz za pazuchą? ukochany Oycze, odpowiedziała, iabtko, na którym wypisane jest imię *Kalify*, naszego Monarchy; Ryhan * nasz Niewolnik przedał mi go za dwa cekiny.

H3

Ze

* Słowo to w Arabskim języku znaczy bazylikę ziółko pachnące; Arabi dają te imię Niewolnikom, iako Francużi lokalom ordynaryinie dają imię Jaśminu.

Na słowo te Niewolnik, Wielki Wezyr *Giafar* zawołał, wyrażając wielkie swoje podziwienie y radość, o ROZE! iak jesteś broniący niewinnych! y natychmiast włożył rękę za pachę dziecka, y wziął iabłko. Rozkazał przywołać Niewolnika nie daleko będącego; iak tylko go uyrzał, hultaiu, rzekł do niego, zkąd żeś wziął tego iabłka? Panie, odpowie Niewolnik, gotow jestem przysiądz, że m go nie ukradł ani u ciebie, ani w ogrodzie Rządcy Wiernych. Dnia iednego przechodząc na iedney ulicy około troyga, lub czworga, zabawiających się dzieci, iednemu z nich, które go trzymało w ręku, wyrwałem go, y zchowałem. Dziecko biegło za mną, wołając, że iabłko to nie było iego, ale iego Matki, która była chora; że Oyciec iego dla zadosyć uczynienia pragnieniu, które miała Marka do iabłek, daleko ieździł, y trzy tylko przywiozł: y że to iabłko było iedne z tych trzech, wzięte od niego tak że Marka nie widziała. Nadaremnie mnie prosił, ażeby m go oddał, przyniosłem go do Domu, y sprzedałem za dwa cekiny małejkiej Damie twoiey Corce. Wszyltkom ci Panie powiedział, com uczynił.

Giafar, nie mógł się wydziwić, że żarćik Niewolnika, był przyczyną śmierci niewinney Zony. Wziął z sobą Niewolnika, y stanawszy przed *Kalifą*, rzecz całą temu Monarcho doskonałe opowiedział; co mu powiedział Niewolnik, y iakim trefunkiem dowiedział się że on był winowaycą.

Ni-

Nigdy w większym iak na ow czas nie był *Kalifa* podziwieniu. Nie mógł się z początku wstrzymać od śmiechu. Na ostatek, pokazał twarz surową, rzekł do *Wezyra*: że ponieważ *Niewolnik* iego był przyczyną tak wielkicy zbrodni, godzien był, ażeby go, przykładnie skarano. Nie mogę temu przeczyć, *Nayiaśnieyszy Panie*, odpowiedział *Wezyr*, lecz występek iego iest iednak taki, że go można darować. Umiem przedziwną iedną *Historyą* o *Wezyrze Kairskim* nazwanym *Nureddyn Ali*, y o *Bedreddynie Hassan*. Ponieważ *Wasza Cesarzka Mość*, rad słuchasz podobnych historyek, będę miał honor powiedzieć iż *Waszey Cesarzkiey Mości*, tę sobie wypraszaiąc kondycyą, ażebyś *Panie Miłościwy*, ieżeli uznasz sam, że iest dziwniejsza nad tę która mi dać okazyją do mowienia, darował niewolnikowi mojemu winę: pozwałam na to odpowiedział *Kalifa*, lecz na wielką się rzecz kasziesz, nie rozumiem, ażebyś mógł ocalić twoiego *Niewolnika*, *Historya* albo wiem o trzech iabłkach iest arey dziwna, y ciekawa. *Giasar* zabrawszy głos w te słowa zaczął relacyę.



HISTORIA

O

NUREDDYNIE ALI

Y

BEDREDDYNIE HASSAN,

Rządcą *Wiernych*, Egipt miał niegdyś Sultana bardzo kochającego się w sprawiedliwości, dobrze czyniącego poddanym swoim, miłosiernego, wspaniałego a dla męstwa y odwagi extra ordynaryiney wszystkim Sasiadom strasznego. Kochał ubogich, y wielką uczonym ludziom dawał protekcyą, do najwyższych ich przypuszczając Urzędów. Sultana tego Wezyr był Mąż rostopny, mądry, przenikający, y we wszystkich wyzwoionych sztukach y umiejętnościach wysoce wyćwiczony. Minister ten, miał dwóch bardzo pięknych synów, obydwóch wstępujących w jego ślady, starszy nazywał się *Szenzedyn Mohammed*, a młodszy *Nureddyn Ali*. Młodszy ołobliwie wszystkie miał potrzebne talenta. Gdy Wezyr ich Ojciec umarł, Sultán rozkazał ich do siebie przywołać, y rozkazawszy ich przybrać w Wezyrskie szaty, wyżasować nie mogąc dosyć, rzekł do nich, tey którąście ponieśli straty. Nie mniey mune ona, iak was obchodzi. Zechcę wam to pokazać przez moje sprawy; a że wiem dobrze, że razem z sobą mieszkać y wdoskonały żyć-

ćie zgodzie, obydwóch was iednąż przyodziewam
godnością. Nużeż! naśladyćie waszego Oycy.

Dway nowi Wezyrowie, podziękowali za tę
Sułtanowi łaskę, y odeszli do swiego Domu dla
sprawienia swoiemu Oycu pogrzebu. Przy koń-
cu Miesiąca, zaczęli swoy Urząd, pierwszy raz
poszli na miejsce rady Sułtana; y od tego dnia
znaydowali się na niey regularnie; kiedykolwiek
składający ią zgromadzili się. Gdy Sułtan wy-
ieżdżał na łowy, bierał z sobą zawsze iednego z
tych dwóch Braći, którym na przemianę ten czy-
nił honor. Starszy dniem przedtym nim iedną
iechał z Sułtanem na łowy, rozmawiając o ro-
żnych rzeczach z Bratem swoim młodszym, rzekł:
Braćiszku ponieważ jesteśmy ieszcze Kawalera-
mi, a żyjemy z sobą tak w wielkiej zgodzie y po
Bratersku, przychodzi mi ztąd myśl iedna. Ożeń-
my się obydwu w iednym dniu, wybrawszy sobie
z iedney ktorey Familii z ktoreyby się nam podo-
bało dwie Siostry. Coż sądzisz o tey moiey my-
śli? Sądzę Braćiszku moy, odpowiedział *Nured-
dyn Ali*, że iest rzetelnym skutkiem tey, ktora nas
ściśle łączy przyjaźni. Przyjaźń taka iaka iest
nasza, nie może nikomu inszey podać do serca my-
śli, bądź wyperswadowany o mnie, że się dosko-
nale zgadzam z twoią wolą. Niedosyć iest ie-
szcze natym, rzecze *Szenzeddyn Mohammed*, ima-
ginacya moia daley mię ieszcze prowadzi; ieże-
liby naprzykład Zony nasze poczęły pierwfzey
wesela nocy, y iednegoż potym dnia zległy, twoia

wydaiąc na świat Syna, a moja Cerkę dzieci te iak tylko przydą do lat, oboie złączymy. Ah! y na to, zawołał *Nureddyn Ali*, chętnie zezwalam, wyznać muszę że projekt ten twój jest arcy rozumny. Maryaż ten ukoronuje naszą przyjaźń. Lecz, Braciśzku mój, przydał, daymy to, żebyśmy te dzieci nasze złączyli, pretendował-że byś, ażeby mój Syn zapisał co twojej Corce? Spodziewam się tego niecomylnie, odpowiedział starszy, y wyperśwadowany jestem, że procz ordynaryiney intercyzy weselney, łatwo byś iej zechciał ieszcze zapisać przynajmniey 3000. cekinow, troje wiosek, y trzech Niewolników. To jest, na co ja się nie zgadzam, odpowiedział młodszy, nie ieszcześmy Bracia, y kolledzy, y iedną zaszczycający się godnością? Oprocz tego ponieważ Mężczyzna zawsze jest godniejszy nad białogłowę nie do ciebież to raczey należy ażebyś dał Corce twojej posag. Widzę dobrze, że sobie tylko samemu sprzyiasz, y z cudzym uszczerbkiem chcesz pomnożyć swoją substancyą.

Lubo *Nureddyn Ali* uśmiechając się te wymówił słowa, Brat iednak jego, nie będąc dobrogo charakteru, rozgniewał się mocno. Biada twojemu Synowi! odpowiedział z gniewem, ponieważ śmiesz go przekładać nad moją Cerkę. Dziwię się nawet nad twoją odwagą, żeś go osądził za godnego mojej Córki. Utraciłeś podobno rozum, że się mi czynisz równym; mówiąc żeś moim kolegą: wiedząc o tym lekkomyślny

czło-

człowiecze, że dla tego twoiego niewstydu, nie dałbym za twoiego Syna Corki moiey; chociaż-
byś iey wszystkie twoie darował bogactwa. Śmie-
szna ta dwóch Braćmi kłutnia o Maryaż dzieci, kto-
rych ieszcze nie mieli, mocno lię rostarfa. *Szem-*
zeddyn Mohammed tak się rozgniewał, że grozić
począł Bratu: gdybym, rzekł: dnia iutrzeyszego
nieiechał z Suftanem, odebrał byś odemnie ten,
na któryś sobie zaśluzyl traktament; powroci-
wszy jednak nauczę cię, że nie powinienes tak
zuchwale mowić z twoim starszym Bratem. To
wymowiwszy udał się do swojego apartamentu,
a Brat iego poszedł spać do swoich pokojow.

Szemzeddyn Mohammed witał bardzo rano na-
zaiutrz, y poszedł z Suftanem za Kair ku Pirami-
dom. *Nureddyn* zaś *Ali*, przepędził noc całą w
wielkich niespokojnościach, y pomiarkowawszy,
że nie mógł dłużej zostawać z Bratem, tak go po-
gardzającym, uformował oddalenia się od Domu
projekt. Rozkazał sobie przygotować mocnego
muła, nabrał dosyć pieniędzy, kleynotow, y żywno-
ści, y powiedziawszy ludziom swoim, że chciał
sam dwóch lub trzech dniową odprawić podróż,
wyiechał.

Wyiechawszy za Kair, udał się przez puste
mieysca do *Arabii*. Lecz w krotce, gdy mu muł
zdechł w drodze, musiał iść piechotą. Szczę-
ściem Kurier iadący do *Balzory* spotkawszy go,
wziął go za siebie na konia. Jak tylko Kurier
przyjechał do *Balzory*, *Nureddyn Ali* zsiadł z ko-
nia,

nia, y podziękował mu za te dobrodziejstwo. Chodząc po ulicach dla wynalezienia sobie gospody, postrzegł iednego Pana idącego z wielką asystencyą, któremu wszyscy Miałta tego mieszkańcy wielki czynili honor, zatrzymując się przez respekt aż by koło nich przeszedł. *Nureddyn Ali* zatrzymał się tak iako inni. Był to Wielki Wezyr *Suftana Balzorskiego*, który umyślnie przechodził się po Mieście, ażeby go widząc Obywatele, trwali w posłuszeństwie y zgodzie.

Minister ten rzuciwszy trefunkiem oczy na tego Młodzieńca, bardzo sobie ulubił iego fizyognomią: przypatrywał mu się z wielkim ukontentowaniem, przechodząc koło niego, a widząc go w podrożney sukni, zatrzymał się y spytał, kto by był, y zkądby iechał. Panie odpowiedział *Nureddyn Ali*, iestem z Egiptu, urodzony w Kairze; porzuciłem własną Oyczyznę, mając sprawiedliwy żal ku iednemu z moich krewnych, y umyśliłem woiażować po całym świecie, y umrzeć raczey, aniżeli do niey powrócić. Wielki Wezyr będący już w sędziwym wieku usłyszałwszy te iego słowa, rzekł: Synu, broń cię BOZE, ażebyś te wykonał przedsięwzięcie. Sama tylko na świecie znayduie się nędza, y niewiesz ieszcze, iakie ci przyidzie ponosić przykrości. Idź za mną, sprawię to, że zapomnisz o tym, co cię przymusiło opuścić Oyczyznę.

Nureddyn Ali poszedł za Wielkim Wezyrem *Balzorskim*, który poznawszy się wkrótce na iego talen-

talentach, tak go ukochał, że dnia iednego rozmawiając z nim partykularnie, rzekł: Synu moy! widzisz że iuż iestem w podeszłym wieku, y że niemasz żadnego podobieństwa, ażebym żył długo. Niebiośa iednę tylko dały mi Corkę, która nie mniey iest od ciebie piękna, y która iuż iest na wydaniu. Nayzacnieyszy y naymożnieyszy Dworu naszego Panowie, prosili mię iuż o nią dla swoich Synow, lecz nie mogłem się ażebym ją im dać, rezolwować. Co do ciebie, tak cię serdecznie kocham, y tak cię mam za godnego moiey Corki, że pominąwszy wszystkich tych, którzy mię o nią prosili, gotow iestem przyjąć cię za moiego Zięcia. Jeżeli przyjmiesz z ukontentowaniem ten moy dar, opowiem Sułtanowi moiemu Monarsze, że cię chcę sobie przywłaszczyć przez ten Maryaż, y wyproszę sobie u niego dożywoćie na godność Wielkiego Wezyra, w Krolestwach *Balzory*. A ponieważ samego tylko w starości moiey pragnę spoczynku, nie tylko wręce twoie złożę wszystkie moje dobra, ale też sprawowanie publicznych Państwa tego interessow.

Ledwie co Wielki Wezyr *Balzorski* zakończył pełne dobroczynności, y wspaniałości słowa, *Nureddyn Ali* rzucił się do nog iego, y w słowach wyrażających obfitość radości, y wdzięczności obowiązanego serca, oświadczył, że gotow był wszystko uczynić, cokolwiek by mu rozkazał. Wtenczas Wielki Wezyr przywołał przednieyszych Dworu swego Urzędników, rozkazał im przy-

przyozdobić wielką Pałacą swego sąłę, y na wspaniały przygotować się bankiet. Zaprosił Dworu, iako też y w Mieście znajdujących się Panów. Gdy się już wszyscy zeszli, ponieważ *Nureddyn Ali* informował już był *Wezyra* o swoim urodzeniu, uspakiając nieciako tych, którym dać nie chciał swojej Córki, rzekł: Panowie moi, chcę wam opowiedzieć teraz rzecz iedną, którą do tychczas trzymałem w sekrećcie. Mam Brata iednego, który jest Wielkim *Wezyrem* *Sultana* Egipskiego, iako ja mam honor być nim w tym Królestwie. Brat ten mój iednego tylko mając Syna, nie chciał go żenić przy Dworze Egipskim, ale go przysłał do mnie, ażebym go ożeniwszy z moją Córką, złączył razem ściśle dwie linie. Syn ten ktoregom ja uznał za moiego Synowca, iak tylko do mnie przyjechał, y ktorego teraz czynię moim Zięciem, jest ten młody Kawaler ktorego widzicie, y ktorego ja waszey rekomenduję przyjaźni. Spodziewam się, że zechcecie mającemu się dnia dzisieyszego obchodzić aktowi iego weselnemu przytomnością waszą uczynić honor. Zaden z tych Panów niemając mu tego za złe, że Synowca swego przeniósł nad wszystkie partye, które się trafiały dla iego Córki, odpowiedzieli wszyscy iednostaynym głosem, że fuszną miał przyczynę do skleienia tego *Maryazu*: że chętnie znaydować się chcieli na weselnym akcie, y że życzyli, ażeby mu BOG użyczył lat długich dla oglądania szczęśliwego z złączenia tego owocu.

Na-

Natym mieyscu *Szecherazada* postrzegłszy dzień przerwała swoją narracyą, wróciła się iednak do niej w następującej nocy.

XCIV. NOC.

Nayiaśniejszy Panie, rzekła, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuować Historyą, którą powiadał *Kalif*: Panie, (mówił) którzy się byli zeszli do Wielkiego Wezyra *Balzorskiego*, ledwie co się oświadczyli, że mieli się znajdować z ukontentowaniem na weselu *Corki* iego z *Nureddynem Ali*, dano znać do stołu, u którego długo siedziano. Na końcu stołu dano konfitury, których gdy każdy według zwyczaju wziął tyle ile mógł, kadys wszedł z intercyzą weselną. Przednieysy *Panowie* podpisywali się na niej, potym cała rozeszła się kompania.

Gdy już sami tylko domowi znajdowali się ludzie, Wielki Wezyr rozkazał Urzędnikom mającym staranie o łaźni, ażeby ją przygotowali y zaprowadzili do niej *Nureddyna Ali*, który znalazł w niej bieliznę tak cienką y piękną, iakiey nigdy ieszcze nie zażywał, y wszystkie potrzebne rzeczy tak bogate y przystoynne, że cały był napełniony ukontentowaniem. Gdy go doskonale omyto zbrudów, chciał wziąć suknię z ktorej się był rozebrał, lecz mu natychmiast prezentowano inną arcy wspaniałą. Przybrawszy się więc w inną y napuściwszy wybornemi drogami olej-

kami,

kami, poszedł do Wielkiego Wezyra swiego Tescza, który postrzegłszy iego piękność, niezmiernie się ukontentował, y poładziwszy go około siebie: Synu moy, rzekł, opowiedziałeś mi, kto jesteś, y iaką u Egipskiego Dworu zaśczycałeś się rangą, namieniłeś mi nawet, żeś miał z Bratem swoim iakąś kłutnię, y że dla tego iedynie odaliłeś się od Oyczystego Kraiu; proszę cię, ażebyś z wielką podufałością informował mię o przyczynie waszey zwady. Powinieneś doskonałą do mnie mieć podufałość, y nic mi w tey mierze nie ukrywać.

Nureddyn Ali, opowiedział mu wszystkie kłutni swoiey z Bratem okoliczności. Wielki Wezyr nie mógł dyskursu iego słuchać bez śmiechu: rzecz ta, rzekł, jest barazo ciekawa! czy jest że rzecz podobna, Synu moy, ażeby was Maryaż ten chimeryczny do takiey przyprowadził zwady? Żal mi cię, żeś się z Bratem starszym pokłócił, dla tak małej bagateli; widzę iednak, że on jest winien, iż się uraził oto, coś ty mu tylko żartem powiedział; lecz dziękuję BOGU za tę kłutnię, która mię takim iakim ty jesteś, uszczęśliwiła Zięciem. Daleko iuż jest w noc, przydał, starzec, czas jest, ażebyśmy poszli spać. Idź, Corko mo. ia a twoia Zona czeka na ciebie. Dnia iutrzyszego będę cię prezentował Sułtanowi, spodziewam się że cię tak przyimie iż obydwa śluszną będziemy mieli cieszzenia się przyczynę.

Nureddyn Ali wyszedł od swego Tescza, y poszedł

poszedł do apartamentu swoiey Zony. W tym zaś to iest nayciekawszą rzeczą, mowił Wielki Wezyr *Giafar*, że w tenże sam dzień, ktorego obchodziło się wesele w *Balzorze*, *Szemzeddyn Mohammed* żenił się w *Kairze*, wesele zaś iego tak się miało.

Gdy *Nureddyn Ali* wyiechał z *Kairu*, z intencją nigdy niepowrocenia się, *Szemzeddyn Mohammed* starszy Brat iego, który był z *Suſtanem* Egipskim na łowach, powróciwszy się w *Mieſiąc*, *Suſtan* albowiem uwiedziony paſſyą ku polowaniu, przez cały ten czas bawił się, pobiegł czym prędzey do apartamentu *Nureddyna Ali*; lecz zdziwił się, gdy się dowiedział, że pod pretextem dwóch lub trzech dniowey podróży, wyiechał z *Domu* na mule, zaraz po iego wyieździe na łowy, y że go od tego czaſu nie widziano. Bardzo go to obeszło, zwłaszcza, że nie powątpiwał, iż nie dyskremie iego słowa były przyczyną iego oddalenia się. Wyſłał czym prędzey Kuryera, który poiechał przez *Damaſk* aż do *Alepu*; lecz *Nureddyn* był iuż na ow czas w *Balzorze*. Gdy Kuryer powróciwszy się opowiedział, że żadney o nim nie powziął wiadomości, *Szemzeddyn Mohammed* poſłał ſzukać go ieſzcze w innych mieyſcach, a tym czaſem poſtanowił ożenić się. Wziął *Corkę* iednego z naypierwſzych y znaymożniejszych *Panow* *Kairſkich*, tegoż ſamego dnia, ktorego Brat iego ożenił się z *Corką* Wielkiego *Wezyra Balzorskiego*.

Nie dosyć ieszcze na tym, mowił *Giasar* Rządco *Wiernych*, tak się rzecz nadała, że przy końcu dziewięciu Miesiący, *Zona Szemzeddyna Mohammeda* urodziła w Kairze Córkę, a *Zona Nureddyna w Balzorze* wydała na świat Syna, którego nazwano *Bedrddynę Hassan*. Wielki *Wezyr Balzorski* okazał ztąd radość swoją przez wielkie podarunki, y bale publiczne, które w dzień urodzenia swojego Wnuczka dawał całemu Miastu. Potym chcąc oświadczyć Zięciowi swemu, że arcy z niego był kontent, poszedł do Pałacu, y upraszał Sułtana, ażeby *Nureddynowi Ali* konferował *Wezyrską* Jego godność. Zycząc sobie, mowił, *Nayiaśniejszy Panie*, mieć ieszcze przed śmiercią to ukontentowanie, ażebym oglądał na moim mieyscu Zięcia mego Wielkim *Wezyrem*. Sułtan który zukontentowaniem swoim już był widział *Nureddyna Ali*, gdy mu go po weselu prezentowano, y o którym od tego czasu zawsze z wielką pochwałą słyszał, chętnie uczynił tę łaskę, o którą dla niego proszono, z niezmiernym nawet swoim ukontentowaniem. Rozkazał go natychmiast w swojej obecności przyodziać w Wielkiego *Wezyra* szatę.

Radość *Teszca* pomnożyła się nazaiutrz, gdy zobaczył swojego Zięcia na swoim mieyscu przydującego na Radzie, y sprawującego wzyśkie funkcyę Wielkiego *Wezyra*. *Nureddyn Ali*, tak chwalebnie wypełniał swoy Urząd, że się zdawało, iż do niego był urodzony. Chodził za-

wsze

wsze potym przydować na Radzie, ile razy słabość y podeszłość wieku nie pozwalały znajdować się na niey iego Teszczowi. Sędziwy ten starzec umarł we cztery lata po tym Maryażu, mając satysfakcyą oglądać Pannili swoiey laturości, która ią w długie utrzymywać obiecywała lata.

Nureddyn Ali uczynił mu ostatnią przysługę, z oświadczeniem rzetelney przyiaźni, y wdzięczności; y iak tylko Syn iego *Bedreddyn Hassan* miał lat 7. oddał go wręce doskonałego Nauczyciela, który zaczął natychmiast przyzwoitą iego urodzeniu dawać mu edukacyą. Prawda że znalazł w tym dziecku dowcip żywy, przenikaący, y sposobny do poięcia by też y najcięższych nauk.

Szecherazada chciała dalej kontynuować, lecz postrzegłszy dzień, skończyła swoy dyskurs wrociła się do niego w następującey nocy y rzekła do *Sultana Indyjskiego*.

XCV. NOC.

Nayaśniefzy Panie, Wielki Wezyr *Giagar*, kontynuując historią, którą opowiadał *Kalife*: we dwa Roki potym, rzekł, *Bedreddyn Hassan* nauczył się doskonale czytać, y na pamięć umiał *Alkoran*. *Nureddyn Ali* Ojciec iego, oddał go ieszcze innym Nauczycielom, którzy go do tej przyprowadzili doskonałości, że w dwo-

naſtym Roku, iuż ich niepotrzebował. Wten-
czas, iako znatury ſwoiey był piękny, y urodzi-
wy, tak wſzyſtkich na ſiebie Ńciągnął oczy y po-
dziwienie.

Dorząd *Nureddyn Ali*, nie chcąc go odrywać
od nauk, nie pokazywał go ſwiatu. Zaprowa-
dził go do Pałacu, ażeby miał honor oświadcze-
nia gębokiey rekognicy Sułtanowi, który przy-
jął go bardzo mile; ći którzy go nappierwſi zo-
bachyli idącego przez ulicę, tak byli niezmiernie
ukontentowani iego pięknoŃcią, że wyrażając
ſwoie wielkie podziwienie y radość, tyſączne mu
dawali błogoſławieńſtwa.

Oyćciec iego przyſpoſobiając go zawczaſu,
ażeby był zdolny do obięcia po iego ſmierci We-
zyrſkiej godnoſci, niczego nie zaniedbywał, co-
kolwiek ſię Ńciągało do iego wydokonalenia,
zdawał na niego nayzawilſze intereſſa, ażeby go
do nich zawczaſu przyzwyczaił. Na oſtatek, ni-
czego nie opuszczał, co tylko ſłużyć mogło do
podwyżſzenia Syna, ktorego ſerdecznie kochał.
Y iuż zaczynał ćiſzyć ſię owocem prac ſwoich,
gdy choroby począł atak, który tak był gwałto-
wny że mu ſmierć wkrótce przyſpieszył. Prze-
to nie ſpodziewając ſię długiego życia, dyspono-
wał ſię natychmiał, ażeby mógł umrzeć iak do-
bry Muzułman. Wtym ſzacownym momencie,
nie zapomniął o *Bedreddynie* ukochanym ſwoim
Synie, przywołał go do ſiebie, y rzekł: Synu
moy widzisz, że ſwiat ten ieſt przemieniający, ten
tylko

tylko na który ja teraz przechodzę, jest grun-
townie trwały. Potrzeba więc, ażebyś zaraz od
tego momentu, tak iak ja teraz do dobrej goro-
wał się śmierci; przygotuy się zawczasu, ażebyś
bez żalu w tę kiedyżkolwiek mógł się udać po-
droż, y żeby ci sumnienie nie nie mogło zarzu-
cić, cokolwiek by było przeciwnego powinno-
ściom dobrego Muzułmana, y gruntownie pocz-
ciwego człowieka. Co do religii, jesteś w niej
dostatecznie informowany, tak od Nauczycielow,
iako też y przez czytanie Książek. Co się zaś ty-
cze uczciwego człowieka, podam ci tu niektóre
maxymy, których możesz z wielkim twoim użyć
pożytkiem. Aże wielka jest potrzeba znać sie-
bie samego, a znać siebie samego nie możesz, ie-
żeli nie będziesz wiedział kto ja jestem, krótko cię
w tym oświecić zechcę.

Urodziłem się w Egipcie; Ojciec mój a
twoj Dziad był nayspierwszym Ministrem Sułta-
na wspomnionego Królestwa. Ja sam miałem
także honor, być Wezyrem tegoż Sułtana, ra-
zem z moim Bratem, a twoim Stryem, który,
iako rozumiem życie jeszcze, y nazywa się *Szen-
zeddyn Mohammed*. Przymuszony byłem odda-
lić się od niego; y przyjechałem do tego Kraiu,
w którym dostałem rangi tej, którą pisałowa-
łem do tyliczas. Lecz dowiesz się tego wszyst-
kiego obfzerniej z książeczki, którą ci dam.

Natychmiast *Nureddyn Ali*, wziął książecz-
kę, którą właśnie swoją zapisał ręką, y którą za-

wsze nosił przy sobie oddawszy ją *Bedreddynowi Hassan*: Weź tę książeczkę rzecz, będziec ją czytał upatrzwszy sobie czas; między innemi rzeczami dowiesz się z niej, ktoregom się ja dnia ożenił, y ktoregoś się ty dnia urodził na świat. Okoliczności te, będą ci podobno kiedykolwiek potrzebne; przeto książeczkę tę masz z pilnym konserwować staraniem. *Bedreddyn Hassan* niezmiernie strapiony zbliżającą się śmiercią swojego Ojca, y słowy jego do żalu wzbudzony, przyjął książeczkę zalewając się łzami, obiecując, że ją iak drogi iaki skarb miał konserwować.

W tymże momencie uderzyła na *Nureddyna Ali* wielka słabość, w ktorej rozumiano że już miał skonać. Lecz przyszedł w krotce do siebie, y zabrawszy głos: rzekł, Synu mój, za naysprawszą podać ci regułę, którą masz zachować w życiu: *ażebys nie ze wszystkiemi bez braku przestawał ludźmi, ten tylko żyć może w bezpieczeństwa, który mając się na ostrożności, nie łatwo innym komunikuje swoich interesów.*

Za drugą regułę podać ci: *ażebys nikomu nieczynił krzywdy, inaczej cały świat przeciwko tobie kiedyż tedy obruszyłby się, tak powinienes się zapatrywać na każdego człowieka, iak na kredytora, ktoremu winien iestes okazać twoie umiarkowanie w passjach, miłośierdzie, yćierpliwosć.*

Za trzecią: *ażebys milczał, nie mówiąc za-
dnego*

dnego słowa wtenczas, gdy cię naybardziej szkalują. Daleki jest ten od niebezpieczeństwa, mowi Przykrowie, który milczy. Jakoż dla tego tę regułę praktykować powinienes. Wiesz dobrze, że do tego zmierzając jeden znaszych Poetow, mowi, że milczenie jest ozdobą, y naywiększą obroną życia, że nie potrzeba w mowieniu być podobnym gwałtownemu deszczowi, który psuje wszystko. Nikt nigdy tego nie żałował, że milczał, przeciwnie zaś nie jeden zapłakał, że wiele mówił.

Za czwartą: ażebyś nie pił wina, bo to jest źródłem wszystkich nieprawości.

Za piątą: ażebyś oszczędzał bogactwa; jeżeli ich nie będziesz rozpraszał, zdadzą się ci kiedykolwiek w potrzebie: nie potrzeba jednak, ażebyś się o nie zbyt starał, ani żebyś był nadto skąpy; pomierne nawet mając dobra, arostopnie ich zażywając, będziesz miał wiele przynależności; przeciwnie zaś chociażbyś miał naywiększe bogactwa, jeżeli ich źle będziesz zażywał, wszyscy cię odstępą y opuszczą.

Na ostatek Nured dyn Ali, aż do ostatniego życia momentu dając zbawienne Synowi swemu przestrogi, umarł y sprawiono mu wspaniały pogrzeb.

Szecherazada natych słowach postrzegłszy dzień przerwała swoy dyskurs, na drugi dzień zstawiając resztę swojej historyi.

XCVI. NOC.

Sułtanowa Indyjska przebudzona będąc od swojej Siostry *Dynarzady*, o zwyczajney godzinie, obrociwszy mowę do Sułtana, rzekła: *Nayjaśniewszy Panie. Kalifie* nie przykrzyło się słuchać Wielkiego Wezyra *Giafara*, który tak dalece kontynuował swoją historiją. Pochowano więc, mówił, *Nureddyna Ali*, z przyzwoitemi godnościami jego honorami. *Bedreddyn Hassan*, z *Balzory*, tak go albowiem nazywano dla tego, że się urodził w tym Mieście, wniewtulonym opłakując śmierć Ojca swego zostawał żalu. Zamiast przepędzenia iednego tylko Mięsiąca według zwyczaju, strawił całe ośm Niedziel na płaczu, y osobności, nie widząc nikogo, nie chodząc nawet na wypełnianie swoich powinności do Sułtana *Balzorskiego*. Monarcha ten rozgniewany za tę jego opieczętość, którą sobie brał za wzgardę Osoby swojej, y swojego Dworu, uwiódł się ku niemu passją. W tey zostając zapalczywości, rozkazał zawołać nowego Wielkiego Wezyra, postanowił albowiem był go zaraz, iak tylko się dowiedział o śmierci *Nureddyna Ali*, y rozkazał mu natychmiast iść do Domostwa zmarłego, konfiskować go ze wszystkimi jego bogactwami, y przyległościami, nie zostawiając nic *Bedreddynowi Hassan*, którego nawet rozkazał zchwycić.

Nowy wielki Wezyr otoczony wielką liczbą Żołnierzy Dworskich, y Urzędników, poszedł
natych-

nary
den
iący
wied
ażeb
go si
tak f
dnia
tem
przed
szary
nays
podn
winę
czasu
idą i
co m

woln
mog
ażeb
żesz
Wez
ko n
Hass
dział
końc
rzy,
by si
nad

narychmiał, ażeby Pański wypełnił rozkaz. Jeden z Niewolników *Bedreddyna Hassan* znajdujący się trefunkiem w tłumie ludzi, iak tylko dowiedział się o zamiśle Wezyra, pobiegł przodem, ażeby o tym Pana swego uwiadomił. Znalazł go siedzącego w przyłionku swojego Domostwa, tak strapionego y płaczącego, iakoby dopiero dnia tego Oyciec jego pożegnał się z tym światem: upadł do nog jego utraciwszy prawie dla prędkiego bieżenia oddech, y pocałowałszy kray szary jego, rzekł: uciekay Panie, uciekay iako nayprędzey. Dlaczego spytał go się *Bedreddyn* podniósłszy głowy? Coż mi to przynosisz za nowinę? Panie odpowie Niewolnik, Panie nie trać czasu. Sułtan wielce się na ciebie rozgniewał, idą już zrozkażu jego konfiskować wszytko to co masz, y wziąć cię w niewolę.

Dyskurs wiernego tego, y kochanego Niewolnika, zmieształ wielce *Bedreddyna Hassan*. Nie mogęż, rzekł, przynamniey wnieść do pokoju, ażebym wziął pieniądze y kleynoty? Nie możesz Panie, odpowiedział Niewolnik. Wielki Wezyr w momencie tu przyjdzie. Wychodź iako nayprędzey, y ratuy się ucieczką. *Bedreddyn Hassan* wstał czymprędzey z sofy, na ktorey siedział, włożył nogi w papucie, y okrywwszy sobie końcem szaty głowę, dla załlonienia sobie twarzy, uciekł czymprędzey, nie wiedząc w którą by się miał udać stronę, dla uniknienia wiszącego nad sobą niebezpieczeństwa. Przyśzło mu nay-

pierwey na myśl, ażeby czym prędzey do naybliższej szedł wyprowadzającej z Miasta Bramy. Niegl nie zatrzymując się aż do publicznego cmentarza, na którym, ponieważ już noc następowała, postanowił przepędzić ją w grobie swiego Ojca. Był to budynek dolyć wielki, wystawiony na kłztałt szopy, który *Nureddyn Ali* ieszcze za życia swego kazał sobie wystawić. Idąc ku temu grobowi spotkał na drodze Żyda bardzo bogatego, który był Bankierem, y Kupcem z profesyi. Powracał z jakiegoś mieysca, na które go interes jakiś był ściągnał.

Żyd ten poznawszy *Bedreddyna*, zatrzymał się, y przyzwoitym respektem oddał mu ukłona. Na tym mieyscu dzień zaiśniawszy nakazał *Scherazadzis* milczenie, która nazajutrz tak swoy dyskurs zaczęła.

XCVII. NOC.

Nayiaśniejzy Panie, *Kalifa* słuchał z wielką atencyą *Wielkiego Wezyra Giasara*, który tak daley kontynuował: Żyd nazwany *Izaak* ukłoniwszy się *Bedreddynowi Hassan*, y pocałowawszy go w rękę rzekł: Panie ośmielam się spytać ciebie, dokąd o tym czasie idziesz sam tylko, y tak bardzo zmieszany? Jeżeli ci się co nie przytrafiło przykrego? Tak jest, odpowiedział *Bedreddyn*, zasnąłem był nie zbyt dawno, y we śnie moim pokazał mi się moy Ojciec. Poglądał na mnie tak iakby się na mnie za co gniewał? porwałem się

czym-

ezymprędzey, y przestraszony wielce, przybie-
giem tu czymprędzey, ażebym się przy grobie
Oyca mego modlił. Panie, rzeczce Zyd, (który
nie mógł wiedzieć dla czego *Bedreddyn Hassan*
wychodził z Miasta.) Ponieważ Wielki Wezyr
świętey pamięci twoy Oyćciec, napelnił towara-
mi wiele okrętow, które ieszcze są na morzu, y
które do ciebie należą, upraszam cię pokornie,
ażebyś mi nad wszystkiemi Kupcami dał preferen-
cyą. Mogę ci zapłacić gotowemi pieniędzmi
wszystkie na wszystkich okrętach znajdujące się
towary, y na początek ieżeli zechcesz mi ustąpić
tych towarow, które na pierwszym zaraz przy-
dą do portu okręcie, wypłacę ci zaraz tysiąc ce-
kinow. Mam ie tu z sobą w kiesie, y gotowem
dać ci ie zaraz. To wymowiwszy wyciągnął wiel-
ką kiesę, którą miał pod pachą y pokazał mu ją
zapięczętowaną.

Bedreddyn Hassan będąc wygnany z Miasta
y оголоcony ze wszystkiego cokolwiek miał na
świecie zapatrywał się na propozycyą tę Zyda,
iako na osobliwszy z Nieba fawor. Akceptował
ją więc wielką radością. Panie, rzekł na ow
czas Zyd, przedaiesz mi więc za 1000. cekinow
towary będące na pierwszym okręcie, który ma
przybieć do portu? Tak iest, przedaę ci ie za 1000
cekinow, odpowiedział *Bedreddyn Hassan*, y inż
iest rzecz skończona. Zyd oddał mu natych-
miał w ręce kiesę oświadczając się że gotow był
ie rachować. Lecz *Bedreddyn* uwolnił go od tej
pracy,

pracy, mówiąc, że mu wierzył. Ponieważ więc jest tak, odpowie Żyd, bądź fałszywy, a napisz mi kilka słów zmniejszając ten nasz kontrakt. To wymówiłszy podał mu swoy kalamarż, który miał przy sobie, pióro y kawałek papieru, na którym *Bedreddyn Hassan* te napisał słowa.

Skrypt ten niech będzie dowodem, że Bedreddyn Hassan z Balzory sprzedał Żydowi Izaakowi, za 1000 cekinów towary będące na pierwszym okręcie, który ma wkrótce przybić do portu, które to pieniądze już odebrał.

Bedreddyn Hassan z Balzory.

Napisałwszy tę kartę, oddał Żydowi, który włożywszy ją do pugilaresu pożegnał się z nim, y odszedł. Przez ten czas przez który Izaak szedł ku Miastu, *Bedreddyn Hassan* dążył ku Ojca swego *Nureddyna Ali* grobowi, przyszedłszy do niego upadł na ziemię na twarz, y zalewając oczy łzami, opłakiwał swoją nieszczęśliwość: Ah! niestetyż mówił, nędzny *Bedreddynie*, co się zrobą stanie? Gdzież naydziesz zchronienie się, w którym byś mógł uniknąć nie sprawiedliwego Monarchy prześladowania? Nie dosyćże było dla ciebie nieszczęśliwości, że ci śmierć odebrała ukochanego Ojca? Potrzebaż jeszcze było, ażeby do sprawiedliwych twoich żalów fortuna przydała nową nieszczęśliwość. Długo leżał temi trapiąc się lamentami: lecz naostatek podniósł się położywszy jednak na grobie Ojca swego głowę, żal
iego

iego z
ścisła
czeń, p
lił głow
podłoc
I
gdy G
podcz
dług t
grobie
baczyc
ścią ie
dumie
zwoł
nazaiu
się tak

Geni
p
Hassan
kreatu
ny od
ognier
patrzy
się na
Przyw
Geniu
ement

iego z większą ieszcze gwałtownością począł mu ścisnąć serce, y poty nie przestał wzdychać y ięczeć, poki dawłszy się zwyciężyć snowi nie oddał głowy swoiey od grobu, nie rościągnał się na podłodze y nie zasnął.

Ledwie co zaczął smakować w snu ślodyczy, gdy Geniusz mieszkający na owym cmentarzu, podczas dnia, chcąc wyjść na świat w nocy według swego zwyczaju, postrzegł młodzieńca w grobie *Nureddyna Ali*. Wszedł do grobu, y zobaczywszy *Bedreddyna* leżącego na znak, pięknością iego tknięty w wielkim zostawać począł zadumieniu. Dzień pokazuiący się nie pozwoił *Szecherazadzie* zakończyć tey historyi; lecz nazajutrz o godzinie zwyczajney przebudziwszy się tak ją kontynuowała.

XCVIII. NOC.

Geniusz, mówił daley Wielki Wezyr *Giasar*, przypatrzywszy się dobrze *Bedreddynowi Hassan*, rzekł sam w sobie, uważając piękność tey kreatury, wyznać potrzeba, że to iest Anioł wysłany od BOGA z ziemskiego Raju, ażeby cały świat ogniem piękności swoiey zapalił. Naostatek, napatrzywszy się na niego przez czas długi, wzniósł się na powietrze, gdzie znalazł Czarownicę. Przywitali się wzajemnie; potym rzekł do niey Geniusz, proszę cię ażebyś zemną spuściła się na cmentarz, na którym ja mieszkam; pokażę ci cud pię.

piękności; nie mniey twego godzien podziwienia iak moiego. Czarownica chętnie na to zezwoliła, w momencie iednym spuścili się oboie, y gdy iuż stanęli w grobie: Coż, rzekł Geniusz do Czarownicy, pokazując iey *Bedreddyna Hassan* widziałeś kiedy Kawalera piękniejszego nad tego?

Czarownica przypatrywała się *Bedreddynowi* pilnie przez naciaki czas, potym obrociwszy się do Geniusza; przyznać rzecze, że iest bardzo piękny; lecz dopiero widziałam w *Kairze* cud piękności, o którym mówić z tobą zechcę jeżeli sobie tego życzysz. Wielkie mi uczynisz ukontentowanie, odpowie Geniusz; Wiedzieć więc masz, rzecze Czarownica: opowiedzieć ci albo wiem chcę rzecz całą, że Sułtan Egipski ma Wezyra nazwanego *Szemzeddyn Mohammed*, którego to Corka mająca lat 20. tak iest piękna, że nad nią świat piękniejszey nigdy niewidział Damy. Sułtan dowiedziawszy się przez odgłos publiczney wieści o extraodynaryiney urodzie tej Damy, przywołałszy w tych dniach do siebie Oyca iey Wielkiego swego Wezyra, rzekł: Ryszałem że masz na wydaniu Corkę, chcę się z nią ożenić; zezwalaszże na to? Wezyr nie mogący się nawet spodziewać podobney propozycyi, zadziwił się nieco, lecz bynajmniej nie uwiódł się tym honorem, zamiast zezwolenia na to z radością, iak kto inszy zapewneby był uczynił, odpowiedział Sułtanowi: Najjaśniejszy Panie, nie iestem go-

dzien

dzien tego honoru, który mi Wafza Cesarzka Mość chcesz uczynić; upraszam pokornie, ażebyś Miłościwy Panie nie miał mi za złe, że się Twoiey w tey mierze sprzeciwić woli. Wiesz dobrze Nayiaśniefzszy Sultanie, że miał Brata nazwanego *Nureddyn Ali* który tak iako y ia miał szczęście być iednym z Twoich Wezyrow. Przytrafiło się nam dnia iednego pokłócić, co mu było przyczyną, że się odemnie oddalił: nie miałem o nim żadney wiadomości aż do dnia zaonogdayszego, dowiedziałem się, że umarł w *Balzorze* na godności Wielkiego Wezyra Sultana tegoż Krolestwa. Zostawił po sobie iednego Syna, aże obowiążaliśmy się obydwu złączyć przez Małżeństwo nasze dzieci, ieżeli byśmy ie mieli, spodziewam się, że w tymże samym umarł pragnieniu. Przeto z moiey strony, chciał bym uiścić tę moję obietnicę, y upraszam usilnie Wafzey Cesarzkiej Mości, ażebyś memu nie przeszkadzał pragnieniu. Znayduie się przy Dworze Wafzey Cesarzkiej mości wiele zacnych Panow mających tak iako y ia Corki, możesz ich uszczęśliwić Twoim z niemi zkoligaceniem się.

Sultan Egipski rozgniewał się niewypowiedzianie za tę odpowiedź na *Szenwzeddyna Mohameda*. . . . *Szecherazada* przestała mówić natym mieyscu, dzień postrzegłszy. Następuiącey nocy wracając się do swoiey historyi rzekła do Sultana Indyjskiego, wystawując zawsze Wielkiego Wezyra *Giasara* mówiącego z *Kalifą Hureunem Akrafzydem*.

XCIX. NOC.

Sułtan Egipski urażony do żywego, że mu *Szemzeddyn Mohammed* odmówił, rzekł do niego z gniewem, w którym się nie mógł umiarkować: także mi to nadgradzasz za moję dobroć? przez którą uniżyłem cię aż do tego stopnia, żeś się z tobą chciał zkoligacić? Potrafię się zemścić za tę preferencyę, którąś śmiał dać nademnie komu infzemu, y poprzyśięgam ci, że Córka twoja nie będzie kogo innego miała za Męża, prócz naysłodszego y naysłodszego którego z moich niewolników. Te wymówiwszy słowa, rozkazał z gniewem wyjść Wielkiemu Wezyrowi, który natychmiast poszedł do swojego Domoſtwa, wielce zafrałowany y zmartwiony.

Dnia dzisiejszego rozkazał Sułtan przywołać do siebie iednego Maszalerza y z przodu y z tyłu mającego garb, tak szpetnego, że bez boiaźni nie można było na niego zapatrzeć, y rozkazawszy *Szemzeddynowi Mohammedowi*, ażeby za niego dał swoją Córkę, kazał napisać intercyzę y podpisać ją w swojej obecności świadkom. Wszystkie przygotowania szkaradnego tego wesela, już stały się, y teraz nawet kiedy z tobą rozmawiam, wszyscy Niewolnicy Panów znajdujących się przy Dworze Egipskim, stoją przy drzwiach łaźni, każdy mając pochodnię w ręku. Czekaia, ażeby Maszalerz garbaty który się w niej kąpie, wyszedł, ażeby go zaprowadzili do iego oblu-

oblu-
y ubra-
zebra-
wefela-
ma p-
miej-
oczy,
zapat-

nicy
powie-
ma t-
dzien-
wać,
ieft t-
dnia
mi fi-
byśm-
Egip-
bateg-
Spraw-
nie m-
twoj-
się Su-
ca, y
teraz
cokol-
nia n-
y ty
łości
Ty

oblubienicy, która już należyćie jest ufryzowana, y ubrana. Wtenczas gdym wyszła z *Kairu*, Damy zebrawszy się miały prowadzić ją z wszelkimi do wesela należącemi ceremoniami do sali, w ktorey ma przyjmować Garbatego, y na tym go teraz mieyscu zapewne czeka. Widziałam go na moje oczy, y mogę cię upewnić, że nie można na niego zapatrywać się bez podziwienia y obrzydliwości.

Gdy Czarownica przestała mówić, rzekł do niej Geniusz: chociaż byś mi niewiedzieć co powiedziała, wierzyć nigdy nie będę, ażeby Dama ta, o ktorey powiadasz, była od tego Młodzieńca piękniejsza. Nie chcę z tobą dysputować, odpowiedziała Czarownica; wyznaię że on jest tylko godzien tej tak śliczney Osoby, która dnia dzisieyszego dostaie się Garbatemu, y zdaie mi się, że uczynilibyśmy godną nas rzecz, gdybyśmy oparliśmy się nieprawiedliwości Sułtana Egipskiego dali icy na mieysce Niewolnika garbatego, tego urodziwego Młodzieńca za Męża. Sprawiedliwie mówisz, rzecze Geniusz, wierzyć nie możesz iak ci wielce jestem obligowany za tę twoię tak śliczną myśl; pozwalam, sprzeciwny się Sułtana zemścić, pocieszmy strapionego Ojca, y uczynimy Damę tę tak szczęśliwą, iak się teraz ma za nieszczęśliwą: nie nie opuszczę cokolwiek tylko jest potrzebnego do wykonania tego projektu, wyperśwadowany jestem, że y ty do tego zażyiesz wielkicy twoiey dołkonności; biorę na siebie zanieść go do *Kairu* tak ci-

cho, żeby się nie obudził, a potem zostawię go twojemu staraniu, ażebyś z nim to czyniła, cokolwiek będzie do wykonania naszego przedsięwzięcia potrzebnego.

Geniusz z Czarownicą umowiwszy się co mieli czynić, wziął powoli *Bedreddyna*, y przeniósł go przez powietrze prędko, aż pod publiczne Domostwo, będące blisko łaźni, z ktorey *Garbaty* już miał wychodzić z asystencyą *Niewolników*, na siebie czekających.

Bedreddyn Hassan w tymże momencie obudziwszy się, zadziwił się mocno, iż się widział w pośrodku Miasta bynajmniej sobie nie znanego. Chciał nawet zawołać, pytając się na korymby był miejscu; lecz Geniusz trącił go powoli w ramię, y przestrzegł, ażeby nic nie mówił. Potym dawił mu w ręce pochodnię, idź, rzecze do niego, wmieszay się pomiędzy tych ludzi, których widzisz we drzwiach łaźniennych, y idź zniemi poki nie przydziesz do wielkiej sali, w ktorey będzie się odprawiało wesele. Nowożeńiec jest *Garbaty*, łatwo go poznasz, wszedłszy do sali, stań po prawey jego ręce, y teraz zaraz otworz kieszę którą masz za pazuchą, y szafuy hoynie będącemi w niej cekinami, rozdając ie idąc Muzykantom, tancarzom y tanczarkom. Agdy już będziesz w sali, nie zapomniey rozdawać pieniędzy *Niewolnicom* *Panny Młodey*, ktorekolwiek się do ciebie zbliżą. Lecz ile razy włożysz rękę do kiesy, po całej garści bierz cekiny, bynajmniej

ich

ich nie ochraniając. Czyń punktualnie wszystko co ci rozkażę z wielką przytomnością rozumu, niech ci nie nie sprawia podziwienia, ani bojaźni, spuszczając się zupełnie na wyższą moc która tobą według upodobania rządzić będzie.

Młody *Bedreddyn* informowany dobrze o wszystkim co miał czynić, zbliżył się ku drzwiom łaźni; zaświecił najpierw swoją pochodnię od pochodni jednego *Niewolnika*, potym w mieszawszy się pomiędzy drugich, tak iakoby należał do którego z *Panów Kairskich*, iść z nimi począł, asystując *Garbatemu* wychodzącemu z łaźni, który iechał na koniu przyprawdzonym mu z *stajni Sułtana*.

Dzień pokazujący się nakazał *Szecherazadzie* milczenie; nazajutrz jednak tak swą zaczęła historiją.

C. NOC.

Najjaśniejszy Panie, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuując swą mowę przed *Kalifą*, *Bedreddyn Hassan*, mówił, będąc blisko Muzykantów, tanczarzów y tanczarek idących zaraz przy boku *Garbatego*, brał ustawnie po garści z kiesy swojej cekinów y hojnie je im rozdawał. A że tę czynił rozrzutność z rzadkim wdziękiem y przymleniem się, wszyscy ci którzy je od niego brali pilnie mu się przypatrywali, y iak tylko mu się przypatrzyli, tak się im zdał piękny, że nie mogli z niego spuścić oczów.

Przyszli naostatek do Bramy Schemzeddyna *Mohammeda* Stryia *Bedreddyna Hassan*: który ani sobie mógł pomyśleć, ażeby iego Synowiec znajdował się tak blisko niego. Żołnierze zagradzając ścisłowi, zatrzymali wszystkich Niewolników niosących pochodnie, nie chcąc ich puścić do Domostwa. Odepechnęli nawet byli *Bedreddyna Hassan*; lecz Muzykanści dla których drzwi były otwarte, zatrzymali się, protestując się, że żadnym sposobem wnieść nie mieli, ieżeliby go z niemi nie puszczono. Nie jest to jeden z liczby Niewolników, mówili, poyzrzawszy tylko na niego, można o tym być doskonale przekonanym. Zapewne jest to Kawaler wojażujący, który przez ciekawość chce zobaczyć ceremonie weselne naszego Miasta. To wymowiwszy wzięli go między siebie, y mimo woli Żołnierzy wprowadzili go do Domostwa, wydarli mu z rąk pochodnie, y porzucili, wprowadziwszy go do sali rozkazali mu usieść po prawey ręce Garbatego, który siedział na Tronie wspaniale przybranym, koło Corli Wezyra.

Ustroiona była arcy bogato ta Dama; lecz rysowała się na twarzy iey boleść y śmiertelny smutek, czego łatwo było zgadnąć przyczynę, widząc przy niej Męża tak szpetnego, y tak mało godnego iey miłości. Tron tego Małżeństwa tak źle zebranego był w pośrodku sofy. Zony Emirow, Wezyrow, Urzędników Sułtana, y inne Damy Dworu, y z Miasta, siedziały ze wszystkich

stron

stron
dług
ustro
wido
lone

w nie
go w
do si
Gdy
fwoi
przy
pow
od w

zem
to fi
Goś
Mło
potr
Dan
wet
ablo
brzy
dale
cob
śmi
kron
zacz
żyły

stron na przyniższych trochę sofach, każda według swoiey rangi, wszystkie zaś tak ślicznie były ufiroione, y tak bogato, że miśe oczom sprawiły widowisko. Trzymały wszystkie wielkie zapalone świece.

Gdy zobaczyły *Bedreddyna Hassan*, wlepiały w niego oczy, y dziwiły się proporcjonalnemu jego wzrostowi; mina y piękność jego twarzy tak ie do siebie ciągnęła że nie zpuszczały z niego oczow. Gdy usiadł, nie było żadney, ktoraby porzućiwszy swoje mieysce, nie przysunęła się do niego, y nie przypatrywała mu się pilnie zbliśka, żadna zaś nie powracała się na swoje mieysce, y nie była wolna od wewnętrznego poruszenia.

Różnica znajduiąca się między *Bedreddynem Hassan*, y Masztalerzem garbatym, ktorego to figura wszystkim była obrzydliwa, dała okazję Gościom do szemrania. Temu to ślicznemu Młodzieńcowi, a nie temu garbusowi, dać było potrzeba tę tak śliczną Pannę, wołały z żalem Damy. Nie stanęły ieszcze natym, poczęły nawet przeklinać Sultana, który na zle zażywaiąc absolutney swoiey władzy, łączył piękność z brzydkością. Przeklinały także y Garbatego, tak dalece, że go przyprowadziły do niecierpliwości, co bardzo rozerwało Spektatorów, którzy głośno śmiejąc się przerwali na nieiaki czas symfonie, które grano w sali. Gdy Kapela na nowo grać zaczęła, Damy które stroiły Pannę Młodą, zbliżyły się do niej.

Te wymowiwszy słowa *Szecherazada* postrzegła, że już był dzień, y przestała mówić, a następującej nocy tak się powróciła do swojego dyskursu.

Setna pierwsza y setna druga noc, zawierają w sobie w oryginale tey książki rzeczki opisanie siedmiu szat y siedmiu rozmaitych ubiorow, które na siebie brała Córka Wezyra Szemreddyna Mohammeda po skończeniu każdej z siedmiu symfonii. Ponieważ te opisanie nie bardzo by ukontentowało Czytelnika, zwłuszczaz że ma w sobie wiersze mające swoje wdzięki w Arabkim ięzyku, lecz w Polskim y Francuzkim nic nie mające słodczy, sprawiedliwie się tu opuszcza.

CIII. NOC.

Nayiaśniefzy Panie, rzekła *Szecherazada* do Sultana Indyjskiego, rozumiem że W. C. Mość nie zapomniałeś, iż to zawsze Wielki Wezyr *Giafar* z *Kalifą Harounem Akrafzydem* rozmawia. Ile razy, mówił daley, Panna Młoda odmieniała szaty, wstawiała z swojego mieysca, y w asystencyi Dam przechodząc koło *Garbatego*, nie poyzrzałszy nawet na niego szła prezentować się *Bedreddynowi Hassan*, ażeby iż przyozdobioną nowemi wdziękami oglądał. Wtenczas *Bedreddyn Hassan* według nauki danej sobie od Geniusza, nie omieszkiał brać z kiefy swoiey garścią cekiny, y rozdawać ie hoy-nie Panny Młodey *Fraucymerowi*. Nie zapo-

smiał

mniał także o Muzykantach, tancerzach y tanczarkach, rzucał im hojnie czasami pieniądze. Roskosz była wielka przypatrywać się, gdy iedni drugich odpychali zbierając ic. Oświadczały mu zato wdzięczność y dawali mu do zrozumienia przez znaki, że życzyli, ażeby on raczey, a nie Garbaty był Panny Młodey Mężem. Damy będące około Panny Młodey z tym samym oświadczały się, y nie dały sobie wspomnieć o Garbatym, któremu różne wyrządzały afronty, co bardzo wielką spektatorom dawało rozrywkę.

Gdy iuż ceremonia odmieniania sukien zakończyła się, Kapela grać, przestała y wyszła, dając *Bedreddynowi Hassan* przez znaki do zrozumienia, ażeby się został. Toż samo uczyniły y Damy wychodząc za niemi z temi którzy kolwiek byli obcy. Panna Młoda poszła do swego gabinetu, gdzie ją poszły rozbierać Damy y nikogo iuż nie było w sali procz Masztalesza garbatego, *Bedreddyna Hassan*, y niektórych służących. Garbaty wielki mając ku *Bedreddynowi* rankor, który był nieiako przyczyną, że z niego sztydiono, zagniewanym na niego poglądając okiem rzekł: czegoż tu czekasz ieszcze? Czemu tak iako y inisi nie wychodzisz. Ponieważ *Bedreddyn* nie miał żadnego pretextu, pod którymby się mógł tam zatrzymać, wyszedł natychmiast, bojąc się bardzo o swoje życie, lecz ieszcze nie wyszedł był z przysionku, gdy Geniusz z Czarownicą pokazałszy się mu, rzekł: dokąd że to idziesz? zaczę-

kay, iuż Garbatego niemasz w sali, wyszedł iuż z niey dla iakieysy potrzeby, mozesz wysmienicie wrocić się, y wnieść do pokoiu Panny Młodey. Gdy sam tylko będziesz z nią zostawał, powiedz iey śmieie, że ty iestes iey Mężem: że intencya Sułtana była rozerwać się tylko przez oszukanie Garbatego, y żeś dla ułagodzenia muiemanego tego iey Męża rozkazał mu przygotować dobry pułmisk śmierany, w śtayni, mow iey także cokolwiek ci na myśl przyidzie dla wyperśwadowania iey tego. Będąc tak pięknie od BOGA stworzonym, nie będzie ci ciężko to sprawić; będzie się nawet cieszyła, że ją tak pięknie oszukano: tym czaśem my przeltrzeżemy Garbatego, żeby się tam nie ważył wchodzić: mozesz bezpiecznie przepędzać noc z twoią Zoną, twoia to albowiem iest, a nie iego.

Gdy Geniusz zachęcał tym sposobem *Breddyna* y informował co miał czynić, Garbatego w samey rzeczy w sali nie było. Geniusz poszedł na to mieysce na ktorym się znajdował, przemienił się w wielkiego czarnego kota, y zaczął strasznie miauczeć. Garbaty począł krzyczeć, y trząskać rękoma dla wypędzenia kota, lecz on nie tylko nie uciekał, ale rozkraczywszy się na nogach y wlepiwszy palające swe oczy w Garbatego, straszniey ieszcze począł miauczeć, y coraz większą na się biorąc postać, w krotce tak się stał wielkim iak osieł. Garbaty na te straszne widowisko chciał krzyczeć gwałtu, lecz tak wielka go

opano-

opanowała boiaźń, że stanął z otwartemi ustami, nie mogąc wymówić słowa. Geniusz, ażeby mu żadnego nie dał spoczynku, przemienił się w momentcie w bawoła, y w tey postaci, począł strasznie ryczeć, wymawiając zrykiem te słowa: brzydki garbusie: co bardziey ieszcze przelstraszyło Mafztalerza, upadł na ziemię, y nakrywşy sobie suknią głowę ażeby niewidział tey straszney bestyi, rzekł drząc: Monarcho naywyższy bawołów, czego odemnie pragniesz? Biada ci, odpowie Geniusz, śmiałeś żenić się z moją oblubienicą! Ah! Panie, rzecze Garbaty, upraszam cię pokornie, daruy mi winę, przez niewiadomośc popełniłem ten występек, nie wiedziałem, ażeby ta Dama miała Bawoła za Oblubienicę: rozkaż mi co ci się tylko podoba, poprzyśięgam, że ci będę posłuszny. Poprzyśięgam ci, odpowiedział Geniusz, że ieżeli mi się ruszysz ztąd, ieżeli nie będziesz milczał poty, poki nie zeydzie słońce, na miazgę ci rozbię głowę. Wtenczas pozwałam ci wyjść z tego Domu; lecz przykazuję ci, ażebyś uciekał prędko, nie obżierając się w tyl, a ieżeli będziesz śmiał powrócić się do niego, przyplącisz tego życiem. Te skończywszy słowa Geniusz, przemienił się w człowieka, wziął Garbatego za nogi, y podniosł go, ieżeli mi się ruszysz, rzekł, poty, poki słońce nie zeydzie, iakom ci iuż powiedział, wezmę cię tak za nogi iak teraz, y rozbię ci o mur głowę na drobne kawałki.

Tym czaśem *Bedreddyn Hassan* zachęcony

od Genialza, y przez obecność Czarownicy wrocił się do sali, wcisnął się do pokoju sypialnego, y ułaził czekając pomysłności swoiey awantury. Po niektórych czacie, Panna Młoda nadeszła, przyprowadzona od iedney staruszki, która zatrzymawszy się we drzwiach, zachęcała Męża, nie uważając czyli to był Garbaty, czy kto inszy do pełnienia swoiey powinności, potym zamknąwszy drzwi odeszła.

Panna Młoda zadziwiła się niewypowiedzianie 'postrzegłszy na miejscu Garbatego *Bedreddyna Haffan*, który się icy z przecudowną prezentował gracyą. Coż to przyjacielu, rzekła, o tym czasie znayduiesz się tu u mnie? Musi bydz, że jesteś kolegą moiego Męża. Bynajmniej, Pani, odpowiedział *Bedreddyn*, inszey godniejszy jestem rangi aniżeli ten przekłety garbus; lecz pamiętaj, rzecze Panna Młoda, że źle mówisz o moim Mężu. Kto? on Pani, jest twoim Mężem, odpowie *Bedreddyn*! y mogłoz się to w twoiey pomieścić głowie, wyidź proszę z twoiego błędu, nie godzi się tak wielkich wdziękow dzięczyć tak szkaradnie y szepnie stworzonemu człowiekowi. Ja jestem, Pani, ten człowiek szczęśliwy, dla ktorego są zachowane. Sułtan uczynił sobie tylko rozrywkę, wyrządzając tę szukę *Wezyrowi* twojemu *Oycu*; lecz w samey rzeczy mnie dla ciebie obrał za Męża. Mogłaś uważać ile razy Damy, Muzykańci, tańczarze, twoje służące Panny, y ludzie Domowi śmieli się z tey komedyi.

dyi. Odesłałem już nieszczęśliwego tego Garbusa do stajni, o tym już czasie z dobrym apetytem ie śmictanę, y możesz bydź wyperswadowana, że go nigdy twoie już więcej nie zobaczą oczy.

Na ten dyskurs Corka Wezyra, która bardzo umarła anizeli żywa weszła była do sypialnego pokoju, odmieniła natychmiast twarz, przybrała wesołą minę, co iey tyle przydało piękności, że się *Bedreddyn* dziwnie ukontentował. Nie spodziewałam się, rzekła, tak miłego dla mnie oszukania, y rozumiałam, że mię już chcieli na całe życie uczynić nieszczęśliwą. Lecz szczęście moje tym zdaie mi się bydź większe, im doskonaley poznaię, że w Ofobietwoiey godnego moiey miłości znaydę Męża. To wymowiwszy rozebrała się do reszty y położyła się w łożku. *Bedreddyn Hassan* kontent będąc że dziedziczył tyle wdziękow, rozebrał się także prędko. Położył swoje suknie na taborecie na kiesz, którą wziął od Zyda y która mimo wielkiej iego rozrzutności była ieszcze pełna, zdiał także swoy zawoy, dla wzięcia nocney czapki, przygotowanej dla Garbatego, y położył się w koszuli tylko y w spodniach, * spodnie te były z hafasu niebieskiego, mające przy sobie taśmę wyszywaną złotem.

Poka-

* Wszyscy Oryentalni ordynaryinie sypiaią w spodniach, y ta okoliczność będzie nam wdałszym historyi przeciągu potrzebna.

Pokazująca się jutrzienka nakazała *Szechera* zachować milczenie. Wnastępujący nocy przebudziwszy się o godzinie ordynaryiney, wrociła się do swojej historyi kontynuując ją w ten sposób.

CIV. NOC.

Gdy Małżeństwo już zaśnęło, mowiał daley Wielki Wezyr *Giasar*, Geniusz złączywszy się z Czarownicą, rzekł: potrzeba to skończyć cośmy tak dobrze zaczęli, strzeżmy się, ażeby nas dzień nie zaskoczył, który już jest nie daleko, idź weź czymprędzey Młodzieńca, tak żebyś go nie obudził.

Czarownica poszła czymprędzey do pokoju w którym Małżeństwo to nowe spało; porwała *Bedreddyna Hassan* w tym w którym był stanie, to jest w kołzuli y wspaniach, y lecąc szypko z Geniuszem, zatrzymała się aż przy Bramie *Damaszku* w *Syryi*, na którym to miejscu wtenczas prawie stanęli, kiedy Kapłani Meczetow zwoływali lud wielkim głosem na poranne Nabożeństwo. Czarownica położyła *Bedreddyna* z wolna na ziemi y zostawiwszy go nie daleko Bramy z Geniuszem odleciała.

Gdy otworzono Bramę, ludzie których się już wiele nazgromadzało, y stało koło Bramy, postrzegłszy *Bedreddyna Hassan* rozciągniętego na ziemi w kołzuli y wspaniach, mocno się dziwować poczęli. Jedni mówili, nieborak tak zna-

gła

gła musiał uciekać od swoiey kochanki, że nie po-
 spiał nawet ubrać się. Patrzcie, mówili drudzy, co
 to się ludziom przytrafia, musiał strawić większą
 część nocy piąc z swoimi przyaciołmi; upił
 się wyszedł potym dla potrzeby, y zamiast po-
 wrocenia się do Domu zaszedł aż tu pod Bramę,
 nie wiedząc sam co czynił, dla tego że go sen mo-
 cno rozmarzył. Rożni rożnie mówili, nikt ie-
 dnak zgadnąć nie mógł, przez jaką awanturę na
 tym mieyscu znaydował się. Małeńki wietrzyk,
 który wtenczas począł powiewać, odwinął koszul-
 kę, y odkrył pierś, które tak były białe iak śnieg.
 Białość ta przedziwna wszystkim zapatrującym
 się tak wielkie sprawiła podziwienie, że w zadu-
 mieniu krzyczęć poczęli, y obudzili młodzieńca.
 Podziwienie iego nie było mnieysze, gdy się zoba-
 czył przy Bramie Miasta, w którym nigdy nie by-
 wał, w pośrodku gminu ludzi, przypatrujących
 mu się z wielką pilnością. Panowie moi, rzekł
 do nich, powiedźcie mi proszę, gdzie ja jestem, y
 czego odemnie chcecie. Jeden z nich zabrawszy
 głos, odezwał się: Młodzieńcze, gdy otworzono
 Bramę tego Miasta, wychodząc znaleźliśmy cię
 leżącego w tym stanie, w którym teraz jesteś. Za-
 trzymaliśmy się przypatrując się tobie: powiedz
 nam proszę, jeżeliś tu nocował? y jeżeli wiesz
 że jesteś przy Bramie *Damaszku*. Przy Bramie
Damaszku? odpowiedział *Bedreddyn*! żartuiecie
 sobie zemnie, położyłem się tey nocy spać w *Kai-
 rze*. Na te słowa niektorzy rozgniewani powie-
 dzia-

dziawſzy, że ſzkoda była wielka iż tak urodziwy Młodzieniec oſzalał, poſzli w ſwoię drogę.

Synu, rzekł mu ieden ſtaruſzek, ponieważ dnia dziſieyſzego znayduieſz ſię w *Damaſzku*, iakiem żeś ſpoſobem mogł być, dz wczora w *Kairze* w wieczor, nie może to być żadnym ſpoſobem. Tak ieſt przecie, nie inaczey, odpowiedział *Bedreddyn*, y poprzyſięgam wam nawet, że m przepe-dził cały dzień wczoraſzy w *Balzorze*. Ledwie co ſkończył te ſłowa, wſzyſcy głoſno ſmiać ſię poczęli, y krzycheć: ſzalony to ieſt bez wątpienia. Niektorzy iednak ubolewali nad tym iego nieſzczęſciem, dla tego że był ieſzcze w wieku młodym, y ieden z nich rzekł: Synu muſiałeś ſtracić rozum, nie rozumieſz co mowiſz. Jeſt że rzecz podobna, ażeby człowiek był podczas dnia w *Balzorze*, w nocy w *Kairze*, a rano w *Damaſzku*? Nie muſiałeś ſię zapewne ieſzcze dobrze obu-dzić, przydź do ſiebie. To co ia mowie, odpo-wiedział powtornie *Bedreddyn Haſſan*, tak ieſt prawda; iak y to że dnia wczoraſzego ożeniłem ſię w *Kairze*. Wſzyſcy ci ktorzy ſię przedtym ſmieli, ſmiech ſwoy bardziey ieſzcze pomnożyli na ten iego dyſkurs. Uważay dobrze co mowiſz, rzecze mu taż ſama oſoba, ktora do niego mowiła, może być, że ci ſię to wſzyſtko ſniło, y że ci ten ſen żywo tkwi w imaginacyi. Wiem dobrze, co powiadam odpowiedział Młodzieniec, powiedzić wy mnie ſami, ieżeli ieſt rzecz podobna, ażeby m ia przez ſen ſzedł do *Kairu*, w ktorym

ryn
gdzie
moig
widz
man
recz
woy
irze.

praw
z teg
wied
trafi

ara
iedn

N
poſz
ięc
krzy
Don
tych
czło
rzec
ſmie
nika

rym żem był zapewne wyperśwadowany iestem, gdzie siedm razy przyprowadzano przedemnie moię Zonę, co raz inaczey ubraną. Gdzie nawet widziałem bezecnego garbatego, o którym minie-
mano że iey miał bydź Mężem. Powiedźcie mi raczey, gdzie się podziela moia suknia, moy za-
woy, moia kiele z cekinami, którą miałem w *Ka-
irze*.

Jakożkolwiek upewniał że rzeczy te były prawdziwe, osoby słuchające go śmiały się tylko z tego; co tak go pomieszało, że sam nie mógł wiedzieć, iak miał sądzić o tym co mu się przy-
trafiło.

Dzień oświecający już apartament *Szachry-
ara* nakazał *Szecherazadzie* milczenie; nazajutrz
iednak tak swą kontynuowała relacyą.

CV. NOC.

Nayiaśnieyszy Panie, *Bedreddyn Hassan* upor-
czywie utrzymuiąc swoje zdanie, wstał, y
poszedł do Miasta; cały lud za nim szedł, woła-
jąc szalony to iest zapewne człowiek. Na ten
krzyk iedni stojąc w oknach, drudzy we drzwiach
Domow, inni na ostatek przyłączywszy się do
tych, którzy obśtapili *Bedreddyna*, wołali, oto
człowiek szalony, nie wiedząc nawet o czym
rzecz była. Zmieszany Młodzieniec tym na-
śmiewiskiem, przyszedł ku Domostwu Paszte-
nika otwierającego swoy sklep, wszedł więc do
niego,

niego, ażeby uniknął hałasow pośpolstwa za sobą idącego.

Paszternik ten bywał niegdyś przełożonym nad włóczącemi się Arabami, którzy to rabuiz karawany, y lubo iuż osiadł był w *Damafzku*, y poczciwie się sprawował, wszyscy go się iednak bali, którzykolwiek go znali. Przeto iak tylko poyżrzał na gmin idący za *Bedreddynem*, rozproszył go natychmiast; kilka zadał Młodzieńcowi kwełtyi; pytał go się, kto by był, y coby go przyprowadziło do *Damafzku*. *Bedreddyn Hassan*, nie ukrywając mu bynajmniey swojego urodzenia, y śmierci Oyca swego Wielkiego Wezyra, opowiedział mu iakim sposobem zasnawszy nocy przelzł na grobie swojego Oyca, uyrzał się potym obudziwszy się ze snu w *Kairze*, y iako w tym Mieście ożenił się z wyborney urody Damą. Naostatek opowiedział mu, że w wielkim zoftawał podziwieniu, iż się z nagła oglądał w *Damafzku*, twierdząc że sam tego nie mógł pojąć, iakim to wszystko stało się sposobem.

Przyznać potrzeba, odpowiedział Paszternik, że historya twoja iest arcy dziwna lecz ieżeli zechcesz iść za moją radą, życzę ci, ażebyś się nie przed każdym ztym otwierał, y czekał cierpliwie ażby się nad robą BOG zmiłowawszy, oddalił od ciebie te przeciwności, którym pozwolił na iaki czas ażeby cię uciskając wypróbowały. Możesz u mnie przez cały ten czas zoftawać, a że iestem bezdzietny, chętnie cię uznam za moiego Syna,

ieżeli

ieżeli na to zezwolisz. Jak cię tylko sobie przywłaszczę, śmieie będziesz mógł przechodzić się po Mieście, y nie będziesz więcey znołł pośmiewiska po polstwa.

Lubo przywłaszczenie to dla Syna Wielkiego Wezyra, nie było z honorem, *Bedreddyn* iednak przyiął chętnie Pasztetnika propozycyą; sądząc że nie mógł się w niniejszey sytuacji swoiey, większego dla siebie spodziewać szczęścia. Pasztetnik ustroił go w szaty, przybrał sobie świadkow y w obecności Kadysa przywłaszczył go sobie za Syna. Od tego czasu *Bedreddyn*, przemierzkiwał u niego, y ukrywając się pod prostym imieniem *Hassan* nauczył się pasztetniectwa.

Gdy się to działo w *Damaszku*, *Corka Szemzeddyna Mohammed*, przebudziła się, y zobaczywszy że *Bedreddyna* nie było koło niey, rozumiała że wstał, niechząc iey przebudzać, y że się nie zabawem miał powrócić, czekała na iego powrót, gdy *Wezyr Szemzeddyn Mohammed*, iey Oyciec, do żywego tknięty afromtem, który rozumiał że od *Sultana Egipskiego* odebrał, przyszedłszy do iey apartamentu, załukał rezolwowany będąc opłakiwać z nią razem iey los nieszczęśliwy. Zawołał iey po imieniu, co iak tylko usłyszawsza, wstała y otworzyła mu drzwi. Pocałowawszy go w rękę, przyięła go tak z wesołą twarzą, że *Wezyr*, który się spodziewał znaleźć ją zalewającą się łzami w wielkim zostawać począł podziwieniu. Niepoczęciwa *Corko*, rzekł do niey z gniewem, śmiesz-

że tak wesoła stawać przed moimi oczami? odebrałszy tobie y całej Familii szkodzący afront, możeszże prezentować tak twarz wesołą?

Szecherazada na tym miejscu dla pokazującego się dnia mowić przestała. W następującej nocy wróciwszy się do swego dyskursu rzekła do Indyjskiego Sułtana.

CVI. NOC.

Nayiaśniejszy Panie, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuując historią o *Bedreddynie Hassan*: *Corka* Wezyra nowa zamężna, mówił, widząc że *Oyćciec* ganił iey radość, którą pokazywała na twarzy; rzekła Panie, nie śay mię, prosię, tak niesprawiedliwie, nie z tym albowiem ja *Garbatym*, nie z tą poczwarą, którą się brzydzę dnia dzisiejszego spałam: tak się wszyscy z niego naśmiewali, że przymuszony był zchować się, a na iego miejsce przyszedł do mnie *Młodzieniec* ieden śliczney urody, który jest prawdziwym moim Mężem. Jaką ty mi powiadasz baieczkę, rzecze z gniewem *Szemzeddyn Mohammed*? Jako! *Garbaty* nie spał dnia dzisiejszego z tobą? Nie, Panie, odpowie *Corka*, nie z kim innym spałam, tylko z tym *Młodzieńcem*, o którym ci powiadam, który ma wielkie oczy y brwi czarne. Temi słowy Wezyr przyprowadzony do niecierpliwości, y rozgniewawszy się mocno na swoją *Corkę*, ah! nie potęziwa, zawołał, chcesz że mię zrozumu wywieść

tym

ym twoim dyskurssem? Y owszem ty ukochany Oycze, chcesz mię zrozumu wywieść, nie wierząc moim słowom. Nie jest że więc, prawda spytał się powtornie Wezyr, że Garbaty. Ah! prze BOG! Oycze, proszę cię nie wspominać mi już więcej o tym przeklętym Garbatym, przetrwała mu mowę Corka, boday by już ten Garbaty przepadł! czyż zawsze jestem nieszczęśliwa przy muszona słuchać o tym Garbusie? Raz ci jeszcze ukochany Oycze powtarzam, przydała, że nie z nim dnia dzisiejszego lecz z ukochanym moim spałam Oblubieńcem o którym ci powiadam, y który tu gdzie musi być niedaleko.

Szemzeddyn Mohammed wyszedł szukając go: lecz zamiast znalezienia go, zobaczył z wielkim swoim podziwieniem Garbatego leżącego w tejże samej sytuacji, w której go zostawił był Geniusz: to jest, mającego plecy y głowę na ziemi, a nogi na ścianie. Coż to jest, rzekł do niego? ktoż to cię tak na ziemi położył? Garbaty poznawszy po głosie Wezyra, odpowiedział mu, ah! ah! ty to jesteś, któryś mi chciał dać za Zonę kochankę Bawoła, Oblubieniec szkaradnego Geniusza? Nie ufowisz mi, nie spodziewaj się tego, nie dam ci się oszukać.

Szecherazada na tym miejscu historyi postrzegła dzień, przeto lubo bardzo mało tej nocy powiedziała, mówić przestała. Nazajutrz kontynuując swoją narracyą, rzekła do *Sultana Indyjskiego*.

CVII. NOC.

Nayiaśnieyszey Panie, Wielki Wezyr *Giafar*, kończąc swoje historyę, mówił; *Szemzeddyn Mohammed* rozumiał, że Garbaty oszalał, gdy go uślyszal tak mowiącego, y rzekł podnieś się z tego mieysca, y stań na nogach. Uchoway BOZE! nie uczynię tego, odpowiedział Garbaty poki słońce nie zeydzie. Wiedz albowiem o tym, że gdym tu dnia wczorayszego w wieczor przyszedł, pokazał mi się z nagła kot czarny, który nieznacznie tak się stał wielkim, iak Bawół; pamiętam co mi rozkazał, więc idź sobie proszę odemnie, y pozwol mi, niech na tym mieyscu zostaie. Wezyr zamiaał oddania się, wziął Garbatego za nogi, y przymusił go do wstania; tu Garbaty uciekać poczał ze wszystkich sił, nie obzierając się za siebie; przybiegł do Pałacu, prezentował się Sultanowi Egipskiemu, y ucieczył go mocno opowiadając mu, iak go traktował Geniusz.

Szemzeddyn Mohammed powrocił się do Corki swoiey pokoiu, w więkzym ieszcze zostając podziwieniu y niepewności, aniżeli przedtym, względem tego czego się dowiedzieć pragnął. Nużę Corko moia, nie możeszże mię objaśnić w tej awanturze, która mię w wielkim trzyma smutku y podziwieniu? Panie, odpowiedziała mu Corka, nie mogę ci już nic więcej powiedzieć nad to, com ci już miała honor opowiedzieć. Lecz oto, przydała, suknia moiego Męża, którą zоста-

wił

wiś na taborecie, możesz się z niey informować o tym czego odenmie żądasz. To wymowiwszy podała Wezyrowi zawoy Bedreddyna, który przy patrzywşy się mu dobrze, rozumiałby, rzekł: że to iest zawoy Wezyrski, gdyby nie był robiony po Musulku, * lecz postrzegłszy że iakaś rzecz zaszyta między materyą, y podszewką, wziąwszy nożyczek dobył złożony papier. Był to sexternik, czyli książeczka, którą Nureddyn Ali umierając dał był swoiemu Synowi Bedreddynowi, który ią sobie wzawoiu zaszył dla więkşey konserwacyi. Szemzeddyn Mohammed otworzywszy książeczkę, poznał charakter swojego Brata Nureddyna Ali, y przeczytał ten tytuł: *Synowi moiemu Bedreddynowi Hassan.* Nim się nad tym dobrze zreflektował, Corka iego podała mu kieszę, którą znalazła pod suknią. Otworzył ią, y zobaczył że była napełniona cekinami iakom iuż wyżej powiedział, mimo albowiem rozrzutności Bedreddyna Hassan, Geniusz y Czarownica zawsze ią konserwowali w całości. Przeczytał na wierzchu iey te słowa: *Tysiąc cekinow należących do Zyda Izaaka, a na drugim miejscu: pieniądze te dane są Bedreddynowi Hassan za towary będące na nypierwszym okręcie, który ma przybić do portu, który to okręt należał niegdys do Nureddyna Ali iego świętey pamięci Oyca.* Ledwie co przeczytał te piśmo westchnął głośno, y zemdlął.

L 3

Sze-

* Musul Miasto w Mezopotanii będące, nie daleko dawney Niniwy.

Szecherazada chciała daley swą kontynuować historiją; lecz dzień pokazał się, a *Sufran Indyjski* poczawszy wstawać, rezolwował się nazajutrz iey słuchać reszty.

CVIII. NOC.

Nazajutrz *Szecherazada* zabrawszy głos rzekła do *Szachryara*: *Najjaśniejszy Panie*, *Wezyr Szemzeddyn Mohammed* będąc otrzyźwiony za pomocą swoiey *Corki*, y zwołanych od niey kobiet, *Corko* moia rzekł: nie dziwuy się, że mi się ten przytrafił przypadek. Przyczyna iego jest taka, ktorey zżęzkością podobno uwierzysz. Oblubieniec ten twoy, który z tobą przepędził noc, jest twoy *Brat Stryieczny*, *Syn Nureddyna Ali*. *Tysiąc cekinow* znajdujących się w tey kieszce, przypominają mi naszą kłutnię, *Brat* ten moy bez wątpienia te pieniądze daie ci za weselny podarunek, niech będzie *BOG* pochwalony we wzyśtkich rzeczach, lecz osobliwie w tey dziwney awanturze, ktora osobliwszym sposobem moe iego pokazuje. Czytał potym po kilka razy charakterzy swiego Brata, całował ie wylewając łzy rzewne. Ah! czemuż nie mogę, mówił z żalem, oglądać samego ukochanego *Nureddyna*, y zgodzić się z nim, tak iako oglądam miłe iego charakterzy?

Przeczytał ow sexternik od początku aż do końca, wyczytał w nim ktorego dnia *Brat* iego przy-

przyszeli do *Balzory*, ktorego się dnia ożenił, y ktorego mu dnia Zona iego wydała na świat *Bedreddyna Hassan*. Dni te konfrontuiąc z dniami swiego wesela, y urodzenia Corki swoiey w *Kairze* zadziwił się nad tą wielką konnexyą, a na ostatek po długiey reflexyi zkonwinkowany był, że Synowiec iego był iego Zięciem, z kąd nie wymowną napełniony był radością. Wziąwszy sexternik ten y kieszę, pokazał Sułtanowi, który darowawszy mu winę, tak wielką miał satysfakcyą z relacyi tey historyi że ią ze wszystkiemi okolicznościami rozkazał opisać, dla zachowania iey potomności.

Ztym wszystkim Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* nie mógł pojąć, iakim sposobem Synowiec iego zniknął; spodziewał się iednak co moment zobaczyć go, czego z wielką oczekiwał niecierpliwością. Gdy już siedm dni płonął cięższył się nadzieią, rozkazał go szukać po całym *Kairze*; lecz lubo go z wielką szukano pilnością, żadney o nim dowziąć nie mógł wiadomości. Co wielkich troskow było mu przyczyną. Otoż, mówił często sam w sobie, awantura extraordinaryna, nikomu ieszcze podobno z ludzi podobna nie przytrafiła się.

W niepewności co się miało stać w dalszym czasie, sądził za rzecz potrzebną, ażeby sam ręką swoją opisał Domoſtwo w którym obchodziło się wesele, iakim sposobem napisana była intercyza: iak sala y pokoy iego Corki były meblo-

wane, związał razem zawoy, kielec y suknie *Bedred-dyna*, y pakę tę zamknął w skrzynię. . . . *Sultenowa Szecherazada* musiała się na tym miejscu załtanowić, ponieważ dzień postrzegła. Przy końcu następującej nocy tak do historyi swojej powróciła się.

CIX. NOC.

Nayaśniejszy Panie, Wielki Wezyr *Giafar* kontynuując swą mowę do *Kalify*, rzekł: w kilka dni *Corka Wezyra Szemzeddyna Mohammeda* postrzegła, że była wciąż, y w samej rzeczy w 9. Mieście powiła Syna. Dano natychmiast dziecku Mamkę, y naznaczono Niewolnicę do pilnowania go, a Dziad jego nadał mu Imię *Agib*. *

Gdy młody *Agib* miał już lat siedm Wezyr *Szemzeddyn Mohammed* zamiast dawania mu Domowej edukacyi, oddał go w naukę Nauczycielowi iednemu wielce sławnemu, y naznaczył dwóch Niewolników, którzy by go zaprowadzili do Szkoły y odprowadzili do Domu. *Agib* bawił się często z swoimi kondycypułami, a że wszyscy byli niższej kondycyi, trzymał między nimi zawsze prym y wielkie od nich odbierał poszanowanie; w czym przykład Nauczyciela był im za regułę, który wielkie czynił mu względy, y cierpiał w nim te rzeczy, za które drugich karał. Względ ten zbyteczny y powolność, z którą sobie postępowa-

WATU

* Słowo to znaczy w Arabskim języku cudowny.

wano z *Agibem*, zgubiła go, stał się dumnym, swy-
wolnym y chciał ażeby iemu godziło się wszystko
złe czynić drugim, sam nie chcąc żadney zcier-
pieć urazy. Wszystko co chciał czynił, a gdy
się który odważył zprzeciwić iego woli lżył go
słowy, a częstokroć porywał się y do bicia. Na-
ostatek stał się nieznośnym wszystkim Studen-
tom, którzy skarżyli się nawet na niego przed
Nauczycielem. Z początku zachęcał ich, ażeby
cierpliwie znosili, lecz gdy widział że przez to *Agib*
bardziej się jeszcze gruntował w swywo-
li, y gdy mu się już mocno naprzykrzył; kochane dzieci,
rzekł do swoich Studentow: widzę, że *Agib* jest
wielki swywolnik, pokażę wam sposob tak go
zmartwienia, że was zapewne zaniecha? spodzie-
wam się nawet, że nieprzyidzie dnia jutrzejszego
do Szkoły. Gdy przyidzie grać z wami tańcie
w koło niego, y każdy z was niech mowi głośno,
graymy; ale pod tą kondycją, ażeby każdy z nas
powiedział y Oyca, y Matki swojej Imię. Tych
którzy tego nie uczynią, będziemy mieli za bę-
kartow, y z sobą im grać nie dopuścimy. Nau-
czyciel opowiedział im, że *Agib* wielką w tey mie-
rze miał znaleźć trudność, czego dowiedziawszy
się z wielką odeszli od niego radością.

Nazajutrz iak tylko się wszyscy zeszli, nie
omieszkali uczynić tego, czego ich nauczył Na-
uczyciel. Otoczyli w koło *Agiba*, y jeden z nich
zabrawszy głos graymy rzekł w grę iedną; lecz
z tą kondycją ażeby ten który nie powie swo-

iey Matki y Oycy Imienia, wnią nie grał. Odpowiedzieli wszyscy y *Agib* nawet sam, że chętnie na to zezwalali. Na ow czas ten, który pierwszy zaczął był mówić, pytał się ich wszystkich iednego po drugim, y wszyscy mu zadosyć uczynili, prócz *Agiba*, który odpowiedział, mnie nazywają *Agibem*, Matka moja nazywa się *Damą piękności*, a Ojciec mój zowie się *Szemzeddyn Mohammed Wezyr Sułtana*.

Na te słowa, wszystkie dzieci zawołały: *Agibie* coż to mówisz? imię to nie jest twoiego Oycy, ale twoiego Dziada. Bog by was skarał rzekł w gniewie *Agib*, śmiećiesz mówić, że *Wezyr Szemzeddyn Mohammed* nie moim Oycem? Studenci odpowiedzieli mu natychmiast, śmiejąc się, nie, nie, Dziadem tylko jest twoim, nie powinienes więc z nami grać, prosimy cię nawet żebyś się do nas nie zbliżał. To wymowiwszy, żartując z niego oddalili się, y nie przestając, między sobą śmieli się. *Agib* mocno był zmartwiony tym ich szyderstwem, y począł płakać.

Nauczyciel który potajemnie wszystkiego słuchał, y który słyszał wszystko, wszedł gdy się to działo, y obrociwszy się do *Agiba*: *Agibie* rzekł, niewieszże to jeszcze, dotych czas, że *Wezyr Szemzeddyn Mohammed* nie jest twoim Oycem, ale że jest tylko Oycem twoiey Matki *Damy pięknosci*? nie wiemy tak iak y ty po Imieniu twoiego Oycy. Wiemy tylko o tym, że Sułtan chciał wydać twoją Matkę za iednego swego garbatego

Maszta-

Masztalerza; lecz że Geniusz z nią potym spał. To jest nie małą dla ciebie nieszczęśliwością, y powinno cię nauczyć, że masz z wielką ludzkością traktować swoich kondyscypułow.

Szecherazada zobaczywszy na tym miejscu dzień zakończyła swoy dyskurs: lecz nazajutrz wrociwszy się do niego rzekła do Sułtana Indyjskiego.

CX. NOC.

Nayiaśnieyszy Panie, mały *Agib* tknięty do żywego tym naigrawaniem swoich kondyscypułow, poszedł z wielkim gniewem od Nauczyciela do swojego Domu, zalewając się łzami. Wszedł natychmiał do apartamentu swojej Matki, *Damy piękności*, która zafrasowawszy się że go widziała tak ztrąpionego pytała go się, o przyczynę tego płaczu. Odpowiedział iey na to, słowy przerwanemi częstym łkaniem, tak albowiem był ściśniony wielkim żalem, że ledwie prześlając po kilkanaście razy dla łkania, mógł opowiedzieć przyczynę swojego płaczu. Gdy to skończył, na Imię Boskie zaklinam cię Matko, przydał: Opowiedz mi proszę, kto jest moy Ojciec? Synu moy, odpowie Matka, Oycem twoim jest *Szemzeddyn Mohammed* który cię codziennie całuje, y pieści. Nie powiadasz mi Matko prawdy, rzecze powtornie *Agib*, nie jest to moy Ojciec, ale Twoy, lecz ja kogoż proszę miałem Ojca? Na ow czas *Dama piękności* przypomniałszy

wszy sobie dzień swojego wesela, po którym już tak długo zostawała w Wdowim stanie, rzewnemi poczęła się zalewać łzami, opłakując gorzko utratę tak godnego miłości Oblubieńca, jakim był *Bedreddyn*.

Na ow czas gdy *Dama piękności* płakała w iednym kąciuku, a *Agib* w drugim, *Wezyr Szemzeddyn Mohammed* wszedłszy pytał się o przyczynę ich płaczu. *Dama piękności* opowiedziała mu umartwienie, które *Agib* odebrał w Szkole. Relacya ta raziła okrutnie serce *Wezyra*, który łączył swoje z ich łzami złączwszy do ostatnicy prawie przychodził rozpacz, że ludzie tak uwłaczali honorowi jego Corki. Trapiąc się okrutnemi myślami, poszedł do Pałacu *Sultana*, y rzuciwszy się do nog *Jego*, upraszał go pokornie, ażeby mu pozwolił obiechać wschodnie Prowincye, a o sobliwie byź w *Balzorze* dla wyszukania swego Synowca *Bedreddyna Hassan*; przydając że nie mógł tego bez ciężkiego żalu zność, iż w Mieście całym rozumieją, że Corka jego *Dama piękności* z *Geniusza* zrodziła Syna. *Sultan* wledeł w prawdziwy żal *Wezyra*, aprobował jego przedsięwzięcie, y pozwolił mu go wykonać. Rozkazał mu nawet napisać Patent, w którym upraszał łowy wielce obowiązującemi wszystkim Monarchow y Panow mieysc tych, na którychby się mógł znajdować *Bedreddyn*, ażeby z wielką ławością pozwolili *Wezyrowi* wziąć go z sobą.

Szemzed-

Szemzeddy Mohammed nie mógł wynaleść tyle słow, któreby mu wystarczyć mogły na dostateczne podziękowanie Sułtanowi za tę jego łaskę. Kontentował się tylko upaść do nog tego Monarchy powtórnie; iży jednak leżące się potokiem z jego oczow, wyraziły doskonale jego wdzięczność: naostatek pożegnawszy się z Sułtanem życząc mu wszelkich pomyślności wyszedł z Pałacu. Przyszedłszy do swojego Domu, należyte do podróży uczynił przygotowania. Co wszystko z tak wielką stało się pilnością, że w cztery dni z Córką swoją *Damą piękności* y z *Agibem* Wnuczkim swoim wyjechał w drogę.

Szecherazada postrzegłszy że się już dzień pokazywał przestała na tym mieyscu mówić. Sułtan Indyjski relacyą icy dziwnie ukontentowany, pałając wielką chęcią słuchania reszty tej historyi, wstawać począł. Jakoż Sułtanowa w następującej nocy zadosyć uczyniła jego ciekawości wracając się do swego dyskursu w te słowa.

KONIEC III. CZĘŚCI.



REGESTR
MATERYI
ZAWIERAJĄCYCH SIĘ

W
TRZECIM TOMIKU.

- LXIX. NOC. Początek historyi *Syndbada Morskiego*.
LXX. NOC. Kontynuacya historyi *Syndbada Morskiego*.
Pierwsza podróż *Syndbada Morskiego*.
LXXI. NOC. Kontynuacya pierwszej podróży *Syndbada Morskiego*.
LXXII. NOC. Koniec pierwszej podróży *Syndbada Morskiego* y początek drugiej.
LXXIII. NOC. Kontynuacya drugiej [podróży *Syndbada Morskiego*.
LXXIV. NOC. Kontynuacya drugiej podróży *Syndbada Morskiego* y początek trzeciej.
LXXV. NOC. Kontynuacya trzeciej podróży *Syndbada Morskiego*.
LXXVI. NOC. Kontynuacya trzeciej podróży *Syndbada Morskiego*.
LXXVII. NOC. Kontynuacya trzeciej podróży *Syndbada Morskiego*.
LXXVIII. NOC. Koniec trzeciej podróży *Syndbada Morskiego* y początek czwartej.
LXXIX. NOC. Kontynuacya czwartej podróży *Syndbada Morskiego*.

LXXX.

LXXX. NOC. Kontynuacya czwartey podróży
Syndbada Morfskiego.

LXXXI. NOC. Kontynuacya czwartey podróży
Syndbada Morfskiego.

LXXXII. NOC. Koniec czwartey podróży *Syndbada Morfskiego* y początek piątey.

LXXXIII. NOC. Kontynuacya piątey podróży
Syndbada Morfskiego.

LXXXIV. NOC. Kontynuacya piątey podróży
Syndbada Morfskiego.

LXXXV. NOC. Koniec piątey podróży *Syndbada Morfskiego* y początek szostey.

LXXXVI. NOC. Kontynuacya szostey podróży
Syndbada Morfskiego.

LXXXVII. NOC. Koniec szostey podróży *Syndbada Morfskiego.*

LXXXVIII. NOC. Początek siódmej y ostatniej
podróży *Syndbada Morfskiego.*

LXXXIX. NOC. Kontynuacya siódmej y ostatniej
podróży *Syndbada Morfskiego.*

XC. NOC. Koniec siódmej y ostatniej podróży
Syndbada Morfskiego.

Historja o trzech jabłkach.

XCI. NOC. Kontynu. historyi o trzech jabłkach.

XCII. NOC. Historja o Damie zabitey y o młodym iey Mężu.

XCIII. NOC. Kontynu. historyi o trzech jabłkach.

Historja o *Nureddynie Ali y Bedreddynie Hassan.*

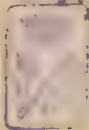
XCIV. NOC. Kontynuacya historyi o *Nureddynie Ali.*

XCV. NOC. Kontynuacya historyi o *Nureddynie Ali y Bedreddynie Hassan.*

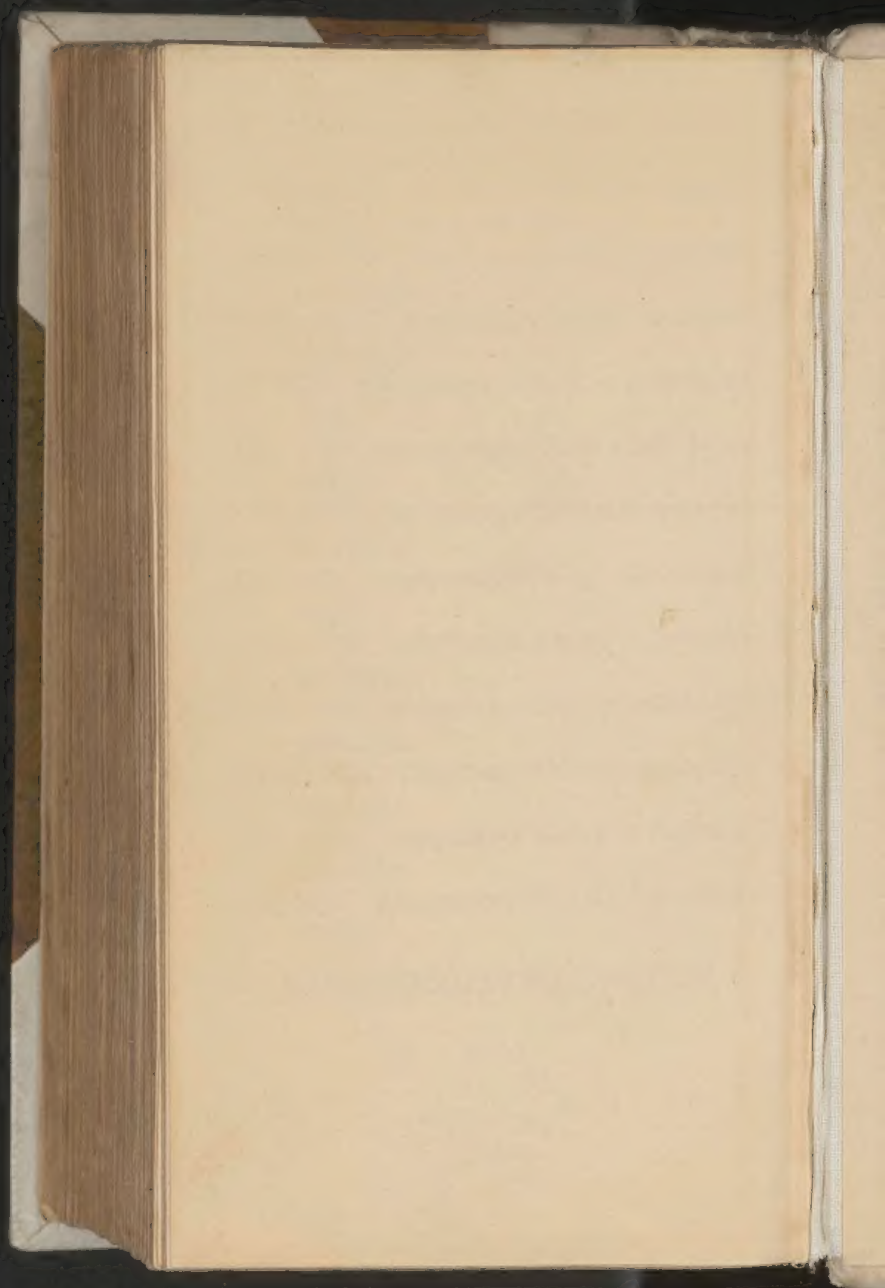
XCVI.

- XCVI. NOC. Kontynuacya historyi o *Nureddynie Ali y Bedreddynie Hassan.*
- XCVII. NOC. Kontynuacya historyi o *Nureddynie Ali y Bedreddynie Hassan.*
- XCVIII. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- XCIX. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- C. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CIII. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CIV. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CV. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CVI. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CVII. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CVIII. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CIX. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*
- CX. NOC. Kontynuacya historyi o *Bedreddynie Hassan.*

KONIEC REGESTRU TOMU III.



y-
y-
d-
d-
nie
nie
y-
nie
y-
y-
y-
y-
nie



Biblioteka Jagiellońska



stdr0024017

